BIBLIOTEKA PMCS LUBLIN

Moje hobby:
POLSKI ORZEŁ WOJSKOWY
Bohdan Królikowski

ESTRADA W NATARCIU
Istvan Grabowski

PRELEGENT Z WALIZKĄ
Marcin Ruta

ROK ZAŁOŻENIA 1933

Kamena

LUBLIN 18 V 1975 Nr 10 (574) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

ZALEW ZEMBORZYCKI

KWITNĄCA WODA

Małgorzata Sawicka

KIEDY wczesną wiosną oglądałam od strony zapory lustro wody Zalewu Zemborzyckiego, wydawało mi się niezmącone i czyste. Ale kiedy czepiając się pni sosen zeszłam na brzeg, w zagłębieniach piaszczystego, pokarbowanego falami dna można było zauważyć czarne rozedrgane resztki obumarłego fitoplanktonu. Tak powiedzieliby znawcy. Niewtajemniczeni nazwaliby to zwykłym „brudem".

Historia owego „brudu" sięga lata ubiegłego roku, kiedy woda w zbiorniku nie osiągnęła jeszcze planowanego poziomu, a prawie trzystuhektarowy szmat wody już przyciągał tysiące ludzi spragnionych słońca i wypoczynku. Po stronie, gdzie drzemią nieliczne zagrody wsi Zemborzyce i gdzie rozsiadać się zaczął Ośrodek Sportów Wodnych, zakwitła (!) woda. Obficiej niż w innych punktach jeziora, bo miejsce przeznaczone na basen pływacki osłonięte pomostem było zaciszne i ciepłe. Więc sinica i zielenica — bo to one zakwitły — mienić się zaczęły na powierzchni wody mnogością kwiatuszków i nitek, które wzięte z wodą do ręki przemykały się przez palce, ale podczas kąpieli osiadały na ciele zielonkawosinym splotem. Jesienią nitki poczerniały i opadły na dno.

Plankton nie jest szkodliwy ani dla życia w Zalewie, ani dla człowieka. Ale widok sinawego kożucha pokrywającego powierzchnię wody nie sprawia najlepszego wrażenia.

Dokończenie na str. 4

Fotoplener w Kazimierzu Fot. M. Spór

Zagłębie kultury?

Ireneusz J. Kamiński

NIE ma potrzeby dowodzić, że Lubelskie Zagłębie Węglowe będzie złożonym organizmem społeczno-gospodarczym, który oprócz wielkich korzyści przyniesie szereg trudnych problemów o wymiarze nieco dla nas egzotycznym. Spora ich grupa zarysuje się w sferze kultury, której kształt i charakter uzależnione są w sposób szczególny od siły i zróżnicowania zbiorowych aspiracji oraz potrzeb. W wielotysięcznych środowiskach wymagania te nie układają się wzdłuż jednej i prostej linii, raczej krzyżują się, prowadząc nierzadko w ślepe zaułki; krajowe precedensy i doświadczenia są w tej mierze wystarczająco pouczające.

Wynika z tego, dość zresztą oczywista, konieczność profilowania owych dążeń, koncentrowania ich wokół wartości, które ze względów ogólnohumanistycznych i ustrojowych uznaliśmy za naczelne. Na początku tej naszej wielkiej sprawy węglowej chodziłoby zatem o umocnienie istniejących instytucji kulturalnych oraz takie zaplanowanie ich rozwoju, które odpowiadałoby nowej sytuacji społeczno-ekonomicznej i obyczajowej, a patrząc szerzej — cywilizacyjnej. Jaka taka pomyślność owego działania — nie łudźmy się że nawet sensownym potraktowaniem złożonego problemu od razu

Dokończenie na str. 4—5

W KOLEJCE PO INDEKSY

Kazimierz Iwaszko

WYBÓR właściwej drogi kształcenia, który zawsze łączył się z pojęciem odpowiedzialności i pewnego ryzyka, jest nadal sprawą trudną i skomplikowaną. Tym bardziej, że dokonanie tego wyboru pojawia się przed młodym człowiekiem stosunkowo wcześnie jako jedna z ważniejszych decyzji życiowych i wymaga umiejętności wyciągania wniosków z różnych sytuacji społecznych oraz dostosowania do nich własnych aspiracji i możliwości. Z tego powodu sprawa przygotowania młodzieży do określenia drogi życiowej nabiera specjalnego znaczenia. Chodzi przecież o to, aby każdy kandydat trafił na studia odpowiadające jego zdolnościom i zainteresowaniom. Wreszcie jest to istotne i dlatego, iż w złożonym charakterze przyczyn, które składają się na niepowodzenia w studiach, jedną z nich wydaje się być niewłaściwie wybrany kierunek kształcenia. Można się spodziewać, że prawidłowy dobór słuchaczy przyczyniłby się do zmniejszenia tak niepokojącego zjawiska, jakim jest znaczny odsiew studentów pierwszych dwóch lat nauki.

Niestety, w obecnym systemie rekrutacji młodzieży do szkół wyższych nie dysponujemy wartościowym sposobem pracy wychowawczej, która wprowadzając młodzież w świat ludzi dorosłych jednocześnie likwidowałaby istniejące mankamenty. Nadal wszelkie w tym względzie poczynania ograniczają się do niezrealizowanych projektów, pomimo że kandydaci do studiów potrzebują pomocy i w miarę swych możliwości jej poszukują.

Oto system poradnictwa zawodowego. Jako podstawowe ogniwo preorientacji zawodowej praktycznie spełnia marginesową rolę. Z przeprowadzonych na ten temat badań wśród maturzystów trzech liceów ogólnokształcących woj. lubelskiego wynika, że zaledwie 10

Dokończenie na str. 5

Światło na końcu tunelu

NIEZRÓWNANY Art Buchwald poświęcił jeden ze swych ostatnich felietonów sprawie Wietnamu. *Wiele osób* — pisze na łamach „International Herald Tribune" — *będzie prawdopodobnie wskazywało palcami winnych katastrofy w Wietnamie. Trudno jest obciążyć winą jakąś indywidualną osobę, toteż — aby zadowolić polityczne przekonanie wszystkich — podaję niewielki zestaw, z którego można dokonać wyboru.*

I Buchwald cytuje wypowiedzi różnych wojskowych i polityków z okresu trzydziestolecia. Wymowa ich jest jednoznaczna...

Oto rok 1945. Francuski generał Jean Leclerc oznajmił: *Nie wróciłem do Indochin, aby oddawać Indochiny z powrotem Indochińczykom.*

Minęło lat dziwięć. Inny francuski generał, Christian de Castries, powiedział: *Wkopię generałowi Giapowi zęby do gardła, jeden po drugim.*

Kto komu wkopał, pokazało Dien Bien Phu. Francuzi po tej bezprzykładnej klęsce wycofali się z Indochin. Ich miejsce zajęli Amerykanie.

W 1963 roku minister obrony Robert McNamara oświadczył: *Południowowietnamskie siły zbrojne uzyskały obecnie doświadczenie, wyszkolenie i wyposażenie niezbędne dla zwycięzców. Zwycięstwo znajduje się w zasięgu wzroku.*

A generał Paul Harkins dodał: *Do Bożego Narodzenia będzie po wszystkim.*

Minęło jednak Boże Narodzenie 1963 roku, 1964, 1965 i sytuacja nie uległa zmianie. Henry Cabot Lodge, ambasador USA w Wietnamie, nie tracił nadziei: *Do końca 1967 roku może pokazać się światło na końcu tunelu i wszyscy będą mieli uczucie, że sprawy wyglądają o wiele lepiej...*

Przetoczyły się lata i okazało się, że reżimu Thieu nic już nie może uratować. A kiedy w sąsiedniej Kambodży Lon Nol salwował się ucieczką, stało się jasne, że i w Wietnamie wojna zbliża się do końca. Ale to „światło na końcu tunelu" zapaliła już druga strona.

1 maja 1975 roku w Sajgonie mogła się odbyć manifestacja ludności. Dzień przedtem oddziały wyzwoleńcze wkroczyły do miasta. *Byliśmy świadkami niezwykłych scen* — pisał korespondent francuskiej agencji. — *Żołnierze w mundurach armii sajgońskiej spokojnie jechali na motocyklach równolegle z postępującymi naprzód kolumnami wyzwolenia.* O godzinie 13.07 miejscowa rozgłośnia radiowa została przejęta przez siły rewolucyjne. *Historia* — oznajmił spiker — *zadecydowała, że to właśnie Sajgonowi, miastu Ho Chi Minha, przypadł w udziale zaszczyt położenia kresu walce...*

Epilog wojny wietnamskiej znalazł się na czołówkach prasy światowej. Mnożą się opinie wypowiadane na gorąco. Agencja France Presse cytuje np. charakterystyczną wypowiedź francuskiego sekretarza d/s armii, gen. Bigearda: *Ta klęska* (armii sajgońskiej) *była nie do uniknięcia. Z jednej strony byli ludzie utrzymywani niejako pod kloszem Amerykanów, z drugiej zaś — armia ludzi młodych, twardych, zahartowanych [...], od urodzenia przywykłych do warunków wojennych. Znam ich dobrze, walczyłem przeciwko nim. Nie mogli się zmienić. Nacierają falami, lekceważą własne życie. Myślą tylko o ojczyźnie, walczą w imię ogromnych ideałów [...] Wietnamczycy walczyliby 10, 20, 100 lat, gdyby było trzeba. Nie można się przeciwstawiać jednomyślnie działającemu narodowi.*

A przecież armia sajgońska należała do jednych z najlepiej uzbrojonych na świecie, dysponowała najnowocześniejszym sprzętem. Ale jednocześnie chyba żadna armia świata nie była tak skorumpowana. Przede wszystkim jednak żołnierz sajgoński był pozbawiony tego, co nazywa się duchem bojowym. Nie mogło być inaczej: zbyt wysoka była przepaść między kastą oficerską, a chłopami wietnamskimi, siłą ubranymi w mundury. Jaką ideologię mógł tym ludziom zaprezentować Thieu poza zdradą narodową?

W ciągu marca i kwietnia br. siły sajgońskie, które przy końcu 1973 roku kontrolowały jeszcze 44 stolice prowincjonalne Południowego Wietnamu, traciły kolejno jedno miasto za drugim, prowincję po prowincji. *Jeśli pominiemy* — słusznie zauważył paryski „Le Monde" — *krótkotrwałą batalię o Ban Me Thuot, a następnie bitwę o Xuan Loc, przejęcie władzy przez Tymczasowy Rząd Republikański Republiki Wietnamu Południowego dokonało się bez poważniejszych strat w ludziach. Ta ostatnia faza wojny indochińskiej była najmniej kosztowna, jeśli chodzi o ofiary ludzkie. Wydarzenia z marca i kwietnia 1975 r., w niczym nie przypominają krwawej hakatomby z 1968 r. i 1972 r. Tym razem nie było ofensywy sił wyzwoleńczych, lecz powszechna ucieczka przeciwnika, nagłe załamanie się reżimu, systemu, który trwał resztkami sił bez poparcia ludności kraju.*

Szczury opuszczają zwykle tonący okręt. Thieu wylądował na Tajwanie z walizami pełnymi złota i dolarów. To był początek ostatniego aktu dramatu wietnamskiego. Za nim pośpiesznie poszli inni „paladyni".

Jak rozwinie się dalej sytuacja? Szczególnej aktualności nabrała dzisiaj 14-punktowa rezolucja uchwalona w czerwcu 1969 r. na Kongresie przedstawicieli Południowego Wietnamu. Artykuł pierwszy głosi — *że ustrój polityczny Wietnamu Południowego jest ustrojem republikańskim, jego dewizą jest niepodległość, demokracja, pokój i neutralność.* Artykuł drugi zaś: *Polityka wewnętrzna jest polityką jedności narodowej bez różnicy przynależności społecznej i etnicznej, przekonań religijnych i poglądów politycznych i bez względu na to, jaka jest przeszłość każdego obywatela, pod warunkiem, że wypowiada się on za pokojem, niepodległością i neutralnością.* Szczególnie jednak interesujący jest artykuł czwarty, który mówi: *Wietnam jest jeden i naród wietnamski jest jeden.*

Na zakończenie nie sposób nie zastanowić się, jak to, co wydarzyło się w Wietnamie, będzie oddziaływać na inne kraje azjatyckie, znajdujące się pod mniejszą czy większą dominacją USA. Charakterystyczne jest tu stanowisko Tajlandii, której minister spraw zagranicznych zapowiedział rychłą likwidację baz amerykańskch. Oświadczył on: *Pozwoliliśmy na istnienie amerykańskich baz w naszym kraju przez zbyt długi okres czasu i wysyłaliśmy nasze oddziały do walki z Wietnamczykami. Wietnamczycy obecnie nie wybaczą nam tych kroków i może to się odbić w przyszłości na stosunkach wietnamsko-tajlandzkich.* Z kolei obserwatorzy w Delhi, stolicy Indii, podkreślili, że po zwycięstwie sił wyzwoleńczych w Wietnamie i po wycofaniu amerykańskich baz z Tajlandii cała Azja Południowo-Wschodnia od doliny Kaszmiru po deltę Mekongu staje się wolna od obcej dominacji po raz pierwszy od kilkuset lat. Dla Hindusów wszelkiej orientacji politycznej zwycięstwo wojsk TRR RWP jest triumfem patriotycznego nacjonalizmu azjatyckiego i kulminacją wieloletniej walki Azjatów z kolonializmem i imperializmem. Nawet tradycyjnie prozachodnia(!) część burżuazji indyjskiej wyraża radość z upadku reżimu sajgońskiego.

Kropkę nad „i" postawił jeszcze 20 kwietnia paryski dziennik „Le Monde" pisząc: *Porażka w Indochinach to [...] zamknięcie pewnego cyklu historycznego. W szesnastym wieku żeglarze portugalscy na swych karawelach utorowali drogę do supremacji Zachodu na Dalekim Wschodzie, która trwać miała czterysta lat.*

Czyż nie jest znamienne, że kraj, którego żeglarze utorowali drogę do supremacji Zachodu na Dalekim Wschodzie, Portugalia, też znalazła się na zakręcie dziejów?

MAJ

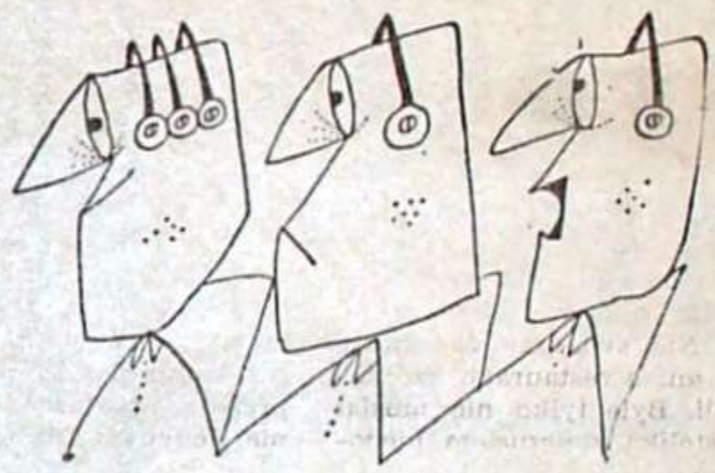

— To musi być chyba poliglota

Rys. L. Szalecki

w którym żyjemy

● **Brakoróbstwo w USA** szerzy się, a ekonomiczne skutki tego zjawiska stają się coraz poważniejsze. W 1975 r. trzeba było np. wycofać ponad 300 tysięcy odbiorników kolorowej telewizji, wyprodukowanych przez Matsushita Corporation of America, ponieważ eksperci stwierdzili, że mogą one powodować radiację 25-krotnie większą niż dopuszczalne maksimum; wszystkie „kadillaki" wyprodukowane przez General Motors w 1974 r., to znaczy ok. 234 tys. samochodów, nie trafi na rynek, ponieważ zostały w nich wadliwie zamontowane urządzenia do zamykania masek; komisja d/s wyżywienia i leków powróciła do afery dotyczącej specyfiku zażywanego w celu regulacji urodzeń, ponieważ — jak się przypuszcza — spowodował on śmierć 14 kobiet i schorzenia u setek innych; jedna z największych wytwórni wózków dziecięcych wyprodukowała ok. 500 tys. wózków, w których pękają rączki.

● **We Francji** jest od 20 do 30 tys. narkomanów i chociaż w ostatnich latach specjalna „brygada antynarkotyczna" policji francuskiej odniosła pewne sukcesy w walce przeciwko handlarzom narkotyków, ogólna liczba osób zażywających różne narkotyki wcale się nie zmniejsza. Narkomani, którym coraz trudniej zdobywać silne środki odurzające, takie jak heroina, morfina i kokaina, zaczęli się przerzucać na inne rodzaje tych środków, noszących obecnie nazwę „coctaili farmaceutycznych".

Centralą handlu narkotykami staje się obecnie Holandia, a przede wszystkim Amsterdam.

● **Otwarte pola** i wiejski krajobraz, niekiedy utożsamiane jeszcze z rolnictwem, były od stuleci uważane za źródło młodości narodu. Ze stanu chłopskiego zbędne ręce do pracy stale napływały do miast. Ten rezerwuar ludzki wydawał się niewyczerpany. Dziś w Szwajcarii rozpoczął się ruch w odwrotnym kierunku. Posiadanie przytulnej i z m o d e r n i z o w a n e j zagrody chłopskiej stało się symbolem statusu społecznego, oznaką dobrobytu. Znacznie wzrosło zainteresowanie samym zawodem rolnika. Wprawdzie w szkołach rolniczych udział młodych ludzi pochodzących z rodzin niechłopskich jest wciąż jeszcze stosunkowo mały, ale mimo to znacznie większy niż przed dwoma laty.

● **W Detroit**, Cleveland i Flint 33 proc. pracowników przemysłu budowlanego nie może znaleźć pracy. W San Diego i News Orleans — 25 proc., w Chicago — 22 proc., w Bostonie — 20 proc. Bezrobocie w skali krajowej wynosi obecnie 8,2 proc. ogólnej siły roboczej, natomiast w przemyśle budowlanym dochodzi do 23 proc. i według danych z ostatniego sezonu budowlanego osiągnęło ono rekordowe rozmiary w okresie ostatnich dziesięciu lat.

● **Szacuje się**, że w USA około miliona kobiet jest każdego roku poddawanych sterylizacji. Statystyki podkreślają, że trzykrotnie więcej kobiet z Puerto Rico, Murzynek i Meksykanek, niż kobiet białych decyduje się na ten zabieg. Większość z nich to dziewczyny biedne, niewykształcone i niezamężne, najczęściej korzystające z opieki społecznej. Wielu lekarzy ze szpitali amerykańskich po to, aby zabezpieczyć praktykę dla młodych chirurgów wprost namawia swoje pacjentki do sterylizacji, albo nawet do dokonania całkowitej hysterectomii (usunięcie macicy).

Zdarza się, że szpitale dokonują sterylizacji bez uprzedniej zgody pacjentki.

● **Prasa zachodnioniemiecka** bije na alarm z powodu ponownego wzrostu wypadków samochodowych po anulowaniu z dniem 15 marca ub. r. ograniczenia szybkości na drogach RFN. Od marca do listopada ub. r. liczba wypadków na autostradach wzrosła o 150 proc.

Kamena str. 2

GARMONDEM

KONKURS na pamiątkę lubelską, rozpisany przez Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Wojewódzkiego, był swego rodzaju aktem rozpaczy i publicznym apelem. Aktem rozpaczy, bo od wielu lat ani sobie ani turystom nie mogliśmy zaoferować jakiejś możliwie ładnej pamiątki. Apelem do twórców, przede wszystkim plastyków, wśród których zwłaszcza młodsza generacja narzeka na warunki materialne.

Tymczasem wśród 106 uczestników konkursu znalazło się zaledwie trzech dyplomowanych plastyków. Czyżby bali się nieznanej konkurencji? Czyżby nie chcieli włożyć trochę wysiłku w stworzenie czegoś, na co jeszcze nie podpisali umowy? Podobnie było niedawno z konkursem na plakat...

Ale i we własnym ogródku nie najlepiej. Na ogłoszony przed dwoma laty konkurs na reportaż o Lubelszczyźnie nie napłynęła żadna praca od literata lubelskiego, odezwało się tylko dwóch miejscowych dziennikarzy.

Coś w tym jest. Ale co?

JOD

Zapiski na Dni

Zygmunt Mikulski

DNI Kultury, Oświaty, Książki i Prasy. Okres, kiedy konkretyzacji ulegają reguły rozprowadzania kultury w środowiskach robotniczych, wiejskich, zakładowych, dzielnicowych, wszelkich. Wprawdzie reguły te są wiadome w okresie całego roku, ale maj dodaje im szczególnego napięcia organizacyjnego. A przede wszystkim przykłada do nich sprawdzian praktyczny, coś w rodzaju bieżącej kontroli. I ciągłej orientacji. Nie sposób bowiem zaprzeczyć, że przy ogólnych założeniach polityki kulturalnej czas składa się z okresów posiadających swoją specyfikę, wynikającą z procesu przemian demograficznych i przez to każdy maj ma inną indywidualność. Fakt, że w danej miejscowości powstał znaczniejszy obiekt przemysłowy, odmienia jej sytuację socjalną i to nie zostaje bez wpływu na dobór serwowanych tam treści. Te są zróżnicowane. Bywało, że wśród nich zaznaczała się przewaga regionalizmu i folkloru, bywało, że szczególnym popytem cieszyły się zespoły estradowe o ustalonej renomie w kraju. Bywało, że przedmiotem organizatorskiej ambicji była całodzienna impreza na wolnym powietrzu pod mianem „błękitnej niedzieli" grupująca różnorodne dziedziny, jak poezja, muzyka, taniec, rozrywka ruchowa, bywało też, że publiczność skupiała się w salach odbierając produkcje bardziej kameralne, jak prelekcja czy występ zespołu teatralnego.

Tegoroczny maj zdaje się nie preferować określonego wzorca organizacyjnego, natomiast wykazuje popyt na treści określone przede wszystkim ich charakterem i jakością. Różnicowanie następuje w zależności od potrzeby.

Również od zapotrzebowania. To znaczy gustów. Pojawiają się głosy, że ten czynnik nie powinien być brany pod uwagę, ponieważ kształcenie społeczne, jak każde kształcenie, musi być uniezależnione od upodobań kształconego, natomiast wynikać z ogólnego programu.

Tak, ale nie przeprowadzamy tu akcji w ścisłym znaczeniu oświatowej, działamy na wyrobienie ogólnokulturowej orientacji społecznej, dlatego przystosowanie nie tylko metod praktycznych i gustów, ale i rodzaju udostępnianych treści do chłonności, do specyfiki odbiorczej danego środowiska jest nieodzowne. Co nikomu ani niczemu nie uchybia. Nie świadczy źle ani o konsumencie, ani o restauracji, że ktoś nie lubi fasoli. Byle tylko nie musiał wstawać od stolika z uczuciem niedosytu. Zresztą wiadomo, że zapotrzebowanie rodzi się na zasadzie reakcji łańcuchowej, estrada pociąga za sobą teatr, piosenka niejednokrotnie wytwarza zaciekawienie dla poezji, jeden rodzaj wprowadza drugi, a więc ważne jest, by ten pierwszy nie zraził już na początku.

Można zauważyć: skąd tyle ostrożności, kulturę upowszechniamy nie od wczoraj. Tak, ale w realizacji tego zadania znajdujemy się wciąż w sytuacji wytwarzającej nowe okoliczności. Jak do niedawna tą nową okolicznością była telewizja, z którą jako z nową fascynacją zbiorową należało się liczyć nawet wtedy, kiedy przynosiła wartości całkiem przeciętne, czy nawet wątpliwe, tak obecnie okolicznością do organizatorskiego uwzględnienia jest racjonalny podział czasu. Podział czasu, którego potrzeba została spowodowana postępem ekonomicznym, zjawiskami obyczajowości i socjologii. Dzisiaj nie można w przetwórni owoców czy w PGR zaprezentować programu jakiegokolwiek, licząc na automatyczne jego oddziaływanie samą zmianą zajęcia. Taki będzie tylko stratą, szkodliwą zarówno dla lepszego wykorzystania wolnego czasu, jak i dla dobrego przyjęcia imprezy kulturalnej w przyszłości. Natomiast program korzystny to program nacelowany na zapotrzebowanie danego środowiska, na jego gust odbiorczy, na określone treści popytu. Co nie ma nic wspólnego z ustępstwem, czy obniżaniem lotu.

Jest pewna cecha Dni, która niejaką satysfakcję przynosi ludziom krytycznie oceniającym współczesną rozrywkę, współczesną sztukę, współczesne przejawy kulturalnego działania. Ta mianowicie, że prezentuje się wartości w treści i w formie przeważnie już sprawdzone. A więc wiersz, arię operową, utwór muzyczny, fragment prozy, obraz. Nie znaczy to, że sięgamy wyłącznie do muzeum, współcześni autorzy znajdują szeroką prezentację ich dorobku, ale nie zajmuje pierwszego planu Dni jakaś dyskoteka, która jest właściwie niczym innym, niż sposobnością do ujścia energii fizycznej, co powinno mieć miejsce raczej na boisku, nie zajmuje również — „wrzeszczanka", jak słusznie Jerzy Waldorff nazwał nowoczesną piosenkę z jej bezceremonialnością i rozchełstaniem, uchodzącymi za przejaw inwencji w sposobie podania. I bynajmniej nie zaciera tu rąk anachronizm nie rozumiejący potrzeby dzisiejszego obyczaju ani młodzieńczego wieku, lecz wyraża się niedosyt potrzebnego rozróżnienia między tym, co naprawdę jest w stanie pobudzić wrażliwość do pewnych reakcji artystycznych i estetycznych, a tym, co tylko trzeszczy i dźwięczy aparaturą nagłaśniającą. Co się przeciwstawi zalewowi dźwiękowej i tanecznej bylejakości, przyjmowanej dzięki swoim własnościom oszałamiającym jak narkotyk? Retro ku tradycji. Nie ma się co łudzić. Na wsi, w której młóci się elektrycznością, wodę otrzymuje się z kranu, a wzdłuż drogi przebiega chodnik — folklor zanika. Z zakończeniem procesu urbanizacji wsi zniknie zupełnie. Jedynym antidotum dezorganizacji, bezkrytycyzmu na polu rozrywki, na polu popularnych postaci kulturalnego działania, może być już tylko podmiotowa skłonność. I właśnie ta nie powinna pozostać bez głosu, kiedy w tej dziedzinie formuje się nowa obyczajowość. Warto, by była to obyczajowość tonu, a nie wrzasku.

Fot. M. Spóz

Kiedy mowa o Dniach Kultury, Oświaty, Książki i Prasy, myśl sama kieruje się ku agregatom, których zadaniem jest wytwarzanie lubelskiego produktu kulturalnego: stowarzyszeniom twórczym. Nie dlatego, by maj miał tu wpływ na aktywizację ich pracy — chociaż i to nie jest wykluczone — ale w tym okresie następuje konfrontacja dokonań z przyjęciem. Produkcji z odbiorem. Czy w wystarczającym stopniu odbiorca lubelski atakowany jest lubelskim wytworem artystycznym? Czy zjawiska dokonujące się na naszym terenie znajdują odpowiedni wizerunek w twórczości lubelskich malarzy i literatów? Czy istnieją przeszkody na płaszczyźnie organizacyjnej lub administracyjnej, hamujące rozwój twórczości artystycznej? Warto tymi pytaniami się zająć, ponieważ zgodną jest opinią samych zainteresowanych, że Lublin pod tym względem nie dosięga miary ćwierćmilionowego miasta. Że „nie jest najlepiej". W tak miłym i nagminnym użyciu znajdowało się niegdyś słówko „stymulować" odmieniane według wskazań nie tylko gramatyki, ale i sytuacji. Czy nie podstymulować by tu czego dzisiaj? Oczywiście niczego się nie osiągnie za pomocą „wezwań", czy „posunięć", ale już będzie znacznym krokiem naprzód, jeżeli się stwierdzi, że istnieją przeszkody w funkcjonowaniu pewnych mechanizmów organizacyjnych i dokładniej określi się tychże przeszkód położenie. Ten temat posiada swą aktualność, nie straci jej po miesiącu.

Ponieważ Dni znajdują się na końcu roku kulturalno-oświatowego, często na ich określenie pojawia się termin „bilans" i „egzamin". Nie ma potrzeby przeciw tym określeniom występować, tyle tylko, że się w użyciu nieco wytarły. Natomiast wypada zauważyć coś w rodzaju podniesienia się temperatury działalności upowszechnieniowej we wszystkich wydziałach, referatach, placówkach, domach, świetlicach i klubach. Tam się szczególnie gotuje. Co dziwnego. Majowa impreza wymaga wiele zaangażowania, jest jak kulig, na przyjęcie którego musi być przygotowany każdy obszerniejszy dom, a godziny gotowości nie są wyznaczone. Są plany, są terminarze, ale przecież sporo tej spontaniczności, zresztą mającej swój niezaprzeczalny urok nagłych wyjazdów w nieznanych kierunkach. Trochę jak kolej, gdzie rozkład jazdy może być wzbogacony życzeniem podróżnych. No i w końcu ta pora roku, ten listek z którym naocznie się skontaktowawszy z satysfakcją stwierdzamy, że środowisko naturalne jeszcze istnieje...

W nazwie Dni jest mowa również o prasie. Na dobrą sprawę prasa nigdy nie czuła się w nich solenizantką. Przeciwnie. Spełniała funkcje usługowe, tym więcej mając do roboty z relacjonowaniem obfitej puli wydarzeń. Może by dać jej kiedyś chwilę złudnego szczęście i kwiatek? Ładny kwiatek? Trochę na to zasłużyła. Jeśli sięgniemy pamięcią aż do dni lipcowych, znajdziemy tu Borejszów, Putramentów, Dąbrowskich i Kuryluków, później w tradycji mamy „okres dumy i naporu", kiedy jeden i to w dodatku małoformatowy „Sztandar Ludu" uderzał w czytelnika nakładem nie wiele większym od drogiej „Kameny", A spójrzmy po kioskach dzisiaj. Ile razy nie ma tam „Kuriera", a ostatnio i „Sztandaru" gdyż zostały wykupione w chwilę po przyjściu z drukarni? Stop. Może, przezwyciężymy w sobie wrodzoną skromność i niechęć mówienia o sobie. Dajcie nam, Czytelnicy, czas do następnego maja.

CZYTELNICY MÓWIĄ

Czy w dzisiejszym świecie istnieje przyjaźń między ludźmi, na czym ona polega i jaką rolę odegrała w pana (pani) życiu? — oto temat naszej kolejnej sondy.

Henryk Cybulak
krojczy

Różne bywają przyjaźnie i rozmaicie przebiegają. Niektóre kończą się nawet w dramatycznych okolicznościach, czasem przekształcają w nienawiść. Ja jednak mam optymistyczne doświadczenia w tym względzie — moje przyjaźnie przetrwały lata, na dobre i na złe.

Hanna Dziemidok
nauczycielka-polonistka

Wiem, że istnieją męskie przyjaźnie, na przykład z wojska, które ciągną się latami. W tak zwane babskie przyjaźnie trudno mi uwierzyć. U młodzieży jest to bardzo silna dążność psychiczna i bardzo potrzebna. Mój mąż twierdzi — ja się z tym zgadzam — że z wiekiem coraz trudniej o przyjaciół, a coraz łatwiej o kolegów, aczkolwiek uczucie przyjaźni to zasadnicza potrzeba ludzka. Neguje więc egzystencjalistyczne bredzie o tym, iż człowiek jest sam w życiu i bez oparcia w drugim człowieku.

Wiesław Herman
plastyk

Współczesne życie dojrzałego człowieka nie za bardzo sprzyja przyjaźniom — ten pośpiech, tempo, gonitwa za sukcesem. Przyjaźń powstaje przeważnie w czasach młodości i wtedy ma ona szanse przetrwania, potem są już tylko zwyczajne znajomości. W moim życiu przyjaźń odegrała dużą rolę i odgrywa ją dalej. Właśnie taki związek z okresu studiów, choć teraz ten człowiek już od pięciu lat przebywa za granicą. Wcale zresztą nie są potrzebne jakieś wspólnoty zawodowe. On jest lekarzem, ale ujęła mnie u niego szerokość zainteresowań. Studiował na ASP jako wolny słuchacz, na politechnice... Chodzi głównie o wspólnotę poglądów.

Edward Skrętowicz
prawnik

Przyjaźń wywodzi się i jest jakby dalszym etapem dobrego koleżeństwa. Oczywiście, myślę tutaj o wspólnocie duchowej, bo przyjaciel to nie znaczy sprzymierzeniec, udzielający materialnej pomocy czy ułatwiający zrobienie kariery zawodowej na zasadzie wzajemnych świadczeń, choć dzisiaj ludzie tak właśnie bywają skłonni rozumieć przyjaźń. Tak czy owak może ona być szkołą zarówno cnoty jak i występku, przecież łobuzy też się przyjaźnią. Według mego osobistego doświadczenia — można liczyć na ludzką przyjaźń i ona istnieje, choć nie każdemu została dana.

Laura Skrzypek
technik ekonomista

Głęboko wierzę w to uczucie, które może się realizować niezależnie od płci różnic, nawet intelektualnych, jakie dzieli ludzi. A w małżeństwie? Po początkowym etapie euforii erotycznej przyjaźń to zasadniczy atrybut małżeństwa, jakby druga faza uczucia, kiedy partnerzy głęboko rozumieją się jako ludzie. Słowem — pełne partnerstwo i wzajemna tolerancja. Jeśli tego zabraknie, małżeństwo traci sens.

Jacek Sokołowski
inżynier mechanizacji rolnictwa

Należałoby wierzyć, iż istnieje takie uczucie. Po prostu jedni drugim pomagają w razie potrzeby. Może iść nawet o pomoc finansową, ale przeważnie chodzi o podtrzymanie na duchu, jakąś podbudowę psychiczną. I to się zdarza w życiu, sam się z tym zetknąłem w pracy zawodowej i stosunkach osobistych, szczególnie rodzinnych, matka bywa często najlepszym przyjacielem człowieka.

Anonimowy obywatel
urzędnik

Pozwolę sobie strawestować słowa pewnej piosenki: „Szukam przyjaciela, co mi rękę złamie..." Wystarczy?!

KWITNĄCA WODA

Dokończenie ze str. 1

W lipcu ubiegłego roku Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska w Lublinie — sztandarowy strażnik czystości wód — sporządził dokładną analizę fizyko-chemiczną i biologiczną wody w Zalewie Zemborzyckim, oraz w Bystrzycy powyżej i poniżej Zalewu. Badania wykazały, że woda spełnia warunki wymagane w II klasie czystości. To znaczy jest przydatna do hodowli ryb, może zaspokajać potrzeby hodowców bydła i trzody chlewnej, nadaje się do kąpieli i do uprawiania sportów wodnych. Analiza biologiczna skoncentrowała się szczególnie na kwitnieniu. Tę osobliwą „chorobę" przechodzą wszystkie sztucznie tworzone zbiorniki. Jedne ciężej, inne lżej, zależnie od warunków. Ponieważ zatopiona łąka w dolinie Bystrzycy miała w niektórych miejscach torfowiska o grubości nawet 2 m, a podłoże takie zawiera dużo soli pokarmowych, głównie azotowych i fosforowych, które są znakomitą pożywką dla planktonu, stąd „choroba kwitnienia" była nieunikniona. Ale do nadmiernej obfitości sinic i zielenic na Zalewie przyczyniły się skutecznie także, a może przede wszystkim, ścieki bogate w związki organiczne i mineralne, a spływające do Bystrzycy i jej dopływów z zakładów przemysłowych i ośrodków miejskich. Bo Bystrzyca ma powyżej dorzecze o powierzchni 730 km², a nad nią samą i wpadającymi do niej rzeczkami jest kilka zakładów o prymitywnych urządzeniach oczyszczających ścieki, bądź też zgoła ich pozbawionych, oraz dwa spore miasta — Bychawa i Bełżyce bez kanalizacji i oczyszczalni ścieków.

Że Bystrzyca już wcześniej była zanieczyszczona, wiedziano bez analiz specjalistycznych. Choćby dlatego, że 10 lat temu wyniosły się z niej raki, które zwykły mieszkać w czystej, dobrze nasyconej tlenem wodzie. A było ich kiedyś w rzece tyle, że wysyłano je w sporych ilościach za granicę. Ich późniejsza awersja do Bystrzycy przynajmniej dla znawców z Polskiego Związku Wędkarskiego była zrozumiała.

Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska nie ograniczył się oczywiście do analizy. Sugerował drogi wyjścia z impasu. Między innymi znalazł się projekt wpuszczenia do Zalewu dużych ilości egzotycznej ryby roślinożernej zwanej amurem białym. Przypuszczano, że na „kwitnienie" będzie to skuteczna terapia. Ale amur jest wybredny i w chłodnej wodzie — a do takiej zalicza się woda w naszym Zalewie — traci apetyt na plankton. Praktycznie żerowałby tylko w najcieplejszych miesiącach. A ponieważ nie jest ich tak wiele, więc to raczej pewne, że amur nie powyjada sinic i zielenic, rozwiązując w ten sposób problem. Natomiast najważniejszą sprawą, gwarantującą rzeczywiście szybką poprawę „zdrowia" Zalewu, może być tylko uporządkowanie gospodarki wodno-ściekowej w zakładach skutecznie dotychczas podtruwających Krężniczankę, Sobieszczankę, Kosarzewkę i samą „królowę" Bystrzycę.

Wydział Gospodarki Przestrzennej, Geologii i Ochrony Środowiska przy Urzędzie Wojewódzkim w Lublinie naliczył 13 „trucicieli" w dorzeczu Bystrzycy i po dokładnych analizach zobowiązał kierowników Wydziałów Gospodarki Komunalnej, Przestrzennej, Ochrony Środowiska i Komunikacji (ileż to kompetencji w jednym wydziale!) przy Urzędach Powiatowych w Bełżycach i Bychawie do objęcia ściślejszą kontrolą wszystkich zakładów stanowiących źródła zanieczyszczeń wód powyżej Zalewu oraz opracowania programów uporządkowania ich gospodarki wodno-ściekowej. Wiadomo jednak, że program to nawet nie preludium, a zaledwie strojenie instrumentów przed wykonaniem dzieła. Że takie inwestycje wymagają i pomysłowości i czasu i pieniędzy.

Wagę całej sprawy podkreślił fakt, że większość z tych zakładów przewidywała wzrost produkcji, a co za tym idzie — zwiększony zrzut ścieków. Dla przykładu Bychawskie Przedsiębiorstwo Spożywcze Przemysłu Terenowego w Osmolicach w niedalekiej przyszłości będzie zrzucać dwukrotnie więcej ścieków niż w roku ubiegłym, a Zakłady Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego „Hortex" w Krężnicy Okrągłej — prawie trzykrotnie. Nie mówiąc o tym, że rozwijające się miasta Bychawa i Bełżyce także będą wydalać więcej nieczystości. Ta groźba zawisła nad Zalewem jak miecz Damoklesa. Na razie zbiornik ma zachowaną zdolność do samooczyszczania i życie biologiczne rozwija się w nim prawidłowo, ale Bystrzyca pozostawia w nim sporo zanieczyszczeń, bo — jak wykazały badania — woda wpływająca do zbiornika jest brudniejsza od wypływającej. Słuszny więc wydaje się alarm w chwili, gdy woda mieści się jeszcze w drugiej klasie czystości, gdyż w trzeciej nadawałaby się jedynie do celów przemysłowych. Poza tym generalne rozwiązanie problemu może zapewnić tylko budowa nowych, pełnosprawnych, dostosowanych do indywidualnych potrzeb zakładów oczyszczalni ścieków.

Ta, chciałoby się rzec, podbramkowa sytuacja była przyczyną wydania w dniu 5 października 1974 roku zarządzenia wojewody lubelskiego w sprawie uporządkowania gospodarki ściekowej w zakładach zlokalizowanych w zlewni rzeki Bystrzycy powyżej Zalewu Zemborzyckiego. Tu już nie było okazjonalnych stwierdzeń o opracowywaniu programów, lecz bezwzględne zobowiązanie Wojewódzkiego Zjednoczenia Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Lublinie do wybudowania dla Bełżyc w latach 1975—1977 i dla Bychawy w latach 1976—1978 mechaniczno-biologicznych oczyszczalni ścieków wraz z systemem sieci kanalizacyjnej o przepustowości wynikającej z potrzeb miast i obiektów zlokalizowanych na ich terenie. To inwestycje największe. Zakłady stwarzające niebezpieczeństwo zanieczyszczeń, jak Bychawskie Przedsiębiorstwo Spożywcze Przemysłu Terenowego w Osmolicach, Zakład Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego „Hortex" i POM w Piotrowicach zobowiązane zostały w różnych — na ogół nie przekraczających dwu lat — terminach do budowy urządzeń ściekowych. Jednocześnie Wojewódzka Komisja Planowania ma zabezpieczyć potrzeby związane z wykonawstwem obiektów.

Ponieważ sama wieś i tłumy ludzi nad jeziorem także stwarzają potencjalną groźbę zanieczyszczeń, prezydent miasta Lublina został zobowiązany do przedłożenia pod koniec bieżącego roku szczegółowego planu zagospodarowania Zalewu Zemborzyckiego ze szczególnym uwzględnieniem gospodarki ściekowej wsi Zemborzyce i ośrodków sportowo-rekreacyjnych zlokalizowanych nad Zalewem. Już teraz wiemy, że Miejska Pracownia Urbanistyczna pracuje nad przygotowaniem ostatecznej wersji projektu.

Zalew żyje. Dla Polskiego Związku Wędkarskiego, który zajmował się zarybianiem zbiornika i w tym roku już pozwoli wędkarzom łowić szczupaki, węgorze, sandacze, karasie, białe amury i płotki, dla MOSTiW-u „Bystrzyca" gromadzącego sprzęt w Ośrodku Sportów Wodnych, dla Ośrodka Badań i Kontroli Środowiska czuwającego nad prawidłowym rozwojem życia biologicznego w Zalewie i nad czystością wody. Dla tysięcy ludzi wreszcie wypoczywających w słoneczne dni nad wodą.

Ale dopóki przewidziane lub zaczęte inwestycje nie staną się faktem dokonanym, nie możemy mieć pewności, że tyle trudu i nadziei nie zniweczą... ścieki. Swoją drogą można było tej niepewności uniknąć i wcześniej, gdy Zalew był jeszcze w sferze projektów, pomyśleć o uporządkowaniu gospodarki wodno-ściekowej w zakładach położonych w dorzeczu Bystrzycy.

A i one same bez nacisków administracyjnych mogły przecież obok planów przewidujących wzrost produkcji umieścić zamierzenia dotyczące ochrony naturalnego środowiska człowieka.

Małgorzata Sawicka

Zagłębie kultury?

Dokończenie ze str. 1

stworzymy przesłanki kulturalnego raju — jest nie do pomyślenia bez wsparcia ze strony samego przemysłu węglowego, który coraz szerzej i głębiej wchodzi na Lubelszczyznę.

Oto na polecenie wojewódzkich władz kulturalnych przeprowadza się od dłuższego czasu analizy naszego stanu posiadania w różnych dziedzinach kultury — przede wszystkim w obrębie projektowanego i realizowanego zagłębia, co zresztą świadczy, że czujemy skalę problemu, że robimy, co aktualnie zrobić możemy. Z zakończonego niedawno „Raportu o stanie bibliotek publicznych działających na terenie nowo powstałego Lubelskiego Zagłębia Węglowego", opracowanego przez bibliotekę wojewódzką, wynika, że lokalne możliwości praktycznego polepszenia sytuacji w tej sferze są przecież ograniczone. Istniejące kłopoty, nierzadko bardzo poważne, narastały latami, ponieważ albo nie posiadaliśmy odpowiednich środków materialnych, albo tu i ówdzie, na różnych szczeblach, nie starczało zrozumienia dla społecznej ważności bibliotecznej sprawy. Czasami owe momenty były ze sobą mocno sprzężone, a zachodziło to najczęściej w tzw. terenie.

Zagłębie przebiega przez sześć powiatów: chełmski, krasnostawski, lubelski, lubartowski, parczewski i włodawski. Liczba interesujących nas tutaj bibliotek gminnych i ich filii przekracza na tym terenie 100. Według odpowiedniego zarządzenia ministra Budownictwa i Materiałów Budowlanych z 11 maja 1968 roku lokal biblioteki gminnej powinien posiadać powierzchnię od 130 m kwadr. (przy 5 tys. mieszkańców w gminie) do 248 m (przy 7 tys. mieszkańców). Tymczasem ponad połowa bibliotek egzystuje w pomieszczeniach o powierzchniach nie przekraczających 30 m kwadr., a tylko trzy mają więcej niż 80 metrów. Sporo budynków wymaga natychmiastowego remontu, inne są zagrzybione, prawie połowa ma kłopoty z ogrzewaniem podczas zimy...

Znamy to dobrze; piszemy o tych kwestiach od dawna, nie ma więc sensu przeciągać wątku. Przypatrzmy się lepiej wnioskowi, jaki w tym miejscu formułują autorzy raportu. Są oni zdania, że biblioteki gminne powinny dysponować lokalami o powierzchniach nie mniejszych od 130 m kwadr., a przy każdej z nich należałoby otworzyć czytelnię i oddział dla dzieci. „Uzbrojenie" placówek miejskich, w większych ośrodkach, w magazyny, czytelnie czasopism i pomieszczenia na zbiory specjalne wydaje się im ze wszech miar uzasadnione. Jest to niewątpliwie wniosek słuszny, uwzględniający praktyczne następstwa hasła „Polska krajem ludzi kształcących się", lecz przede wszystkim wspaniale naiwny. Należałoby postawić go na półce archiwalnej — obok cytowanego zarządzenia ministra z 1968 roku, które faktycznie nie jest honorowane.

To nawet zdumiewające, jak wiele ogłoszono już rozsądnych decyzji i wniosków, które m. in. ze względu na nikłą realizację ze strony administracji i najżywiej zainteresowanych instytucji prawie nie funkcjonują na terenie naszego życia kulturalnego. Zdążyło to już zresztą wydać robaczywe owoce, które spróbujmy nazwać „niezobowiązującym stosunkiem" niektórych organizacji, środowisk i przedsiębiorstw do racjonalnych nawet zarządzeń. Na ten temat mogliby coś powiedzieć plastycy (w bólach rozwiązywana sprawa pracowni w budownictwie komunalnym i spółdzielczym) oraz służba konserwatorska, która nauczona doświadczeniem dość rzadko ucieka się o represyjną pomoc do organów prokuratorskich. Może więc warto byłoby przeprowadzić coś w rodzaju remanentu w ustawodawstwie związanym z kulturą, może należałoby przetrząsnąć worki z okólnikami ulokowane na różnych szczeblach zarządzania, a następnie przymierzyć owe t e k s t y do aktualnych i przewidywanych potrzeb społecznych oraz realnych możliwości realizacyjnych — przy jednoczesnym ustaleniu bardziej kategorycznych zasad egzekwowania ich t r e ś c i?! Nie zachęcam, w żadnym wypadku, do formułowania programów minimum, jakichś prowizorek, stwarzających pośrednio alibi decyzjom które spychałyby inwestycje kulturalne na ostatnie miejsce życiowej hierarchii danego środowiska czy regionu. Wskazuję jedynie na moralną dwuznaczność obecnej sytuacji.

Powyższe uwagi to właściwie dygresja na marginesie tematu artykułu. Zarządzenie ministerialne z 1968 roku dotyczy bowiem nowych inwestycji resortowych (czy międzyresortowych), gdy tymczasem na terenie wspomnianych sześciu powiatów Lubelszczyzny nie wzniesiono dotąd żadnego takiego obiektu. Ponieważ nie byliśmy wystarczająco zamożni — jak to się zazwyczaj i nie bez słuszności tłumaczy. Ale nawet tam, gdzie biblioteki wprowadzono do nowych budynków, honorowanie norm zawartych w dokumencie okazało się niemożliwe. Z identycznych względów.

Zrozumieć przecież można, dlaczego autorzy raportu próbowali — nieśmiało — konfrontować wiadome zarządzenie z sytuacją bibliotek gminnych na terenie zagłębia. Chodziło zapewne o to, aby potencjalny mecenas, jeśli przystąpi do w s p ó l n e g o działania, uzmysłowił sobie skalę potrzeb i nadał reformatorskiej operacji proporcjonalnie duży rozmach. Innymi słowy: raz jeszcze odwołano się do liturgii bibliotekarstwa, która zasadza się na cierpliwym przypominaniu o sprawie, na pochlipywaniu po kątach w intencji zwycięstwa myślenia nad dumaniem. Od czasu do czasu daje to nawet oczekiwane rezultaty, ale na pewno nie prowadzi do pełnego, doskonale n a o l i w i o n e g o systemu bibliotecznego. Wszystkie bowiem kwalifikacje zawodowe, inicjatywy i dyplomatyczne podchody okazują się niczym wobec braku środków materialnych. Tymczasem jednak pojawiło się na Lubelszczyźnie zagłębie.

Dyskretne — bo inne w tej fazie być nie może — zapraszanie przemysłu węglowego do udziału w rozwiązaniu złożonych spraw lubelskiej kultury to nie tylko jedyne wyjście z trudnej sytuacji, ale i dowód integralnego myślenia o przyszłości regionu. Co prawda jeszcze teraz w powszechnym odczuciu kopalnie jawią się jako coś, co nagle spadło z nieba i kiwa do nas obiecująco, nie tracąc przecież wyraźnych cech odrębności. Lada rok za-

Kamena str. 4

W KOLEJCE PO INDEKSY

Dokończenie ze str. 1

proc. uczniów korzystało z pomocy poradni, a tylko dla niewielkiej liczby pomoc ta okazała się wystarczająca do podjęcia decyzji. Nikły wpływ na kształtowanie się decyzji wyboru kierunku studiów mają także nauczyciele i wychowawcy. Pewne nadzieje na rozwiązanie tego problemu wiązano z powołaniem w szkołach pełnomocników d.s. preorientacji zawodowej, ale pracownicy ci, nie mając przygotowania i czasu (bo sprawują szereg innych funkcji), jak dotąd nie spełniają oczekiwań. Również środki masowego przekazu, informatory i biuletyny nie pomagają w pełni kształtować pozytywnego zbioru kandydatów; sporadyczne akcje niekiedy dezinformują, a jeszcze częściej wzmagają „owczy pęd" zastępujący racjonalny wybór. Stosunkowo najwyżej ocenianym źródłem wiadomości o możliwościach nauki i pracy po jej ukończeniu są starsi studenci i absolwenci. Co z tego, jeśli szerokim potrzebom wychodzą naprzeciw tylko nieliczne uczelnie i środowiska? Jak więc w tej sytuacji przebiega selekcja kandydatów oraz kto lub co ma najistotniejszy wpływ na decyzję wyboru kierunku studiów?

Prowadząc badania w liceach — różnych pod względem składu społecznego uczniów — mogłem się przekonać, iż dążenia do określonych kierunków studiów, jak też motywacja ich wyboru, uzależnione są od środowiska domu rodzinnego młodzieży. Oto dla uczniów pochodzenia chłopskiego najpopularniejsze dyscypliny to studia nauczycielskie i rolniczo-ogrodnicze. Natomiast młodzież z rodzin robotniczych preferuje wykształcenie techniczne, medyczno-przyrodnicze i nauczycielskie. Podobnie maturzyści pochodzenia inteligenckiego w największym stopniu dążą do wykształcenia technicznego i medycznego. Liczna grupa kandydatów z tego środowiska wybiera się również na studia archeologiczne, neofilologiczne i psychologiczno-socjologiczne, przy czym stopień samodzielności w tych decyzjach jest stosunkowo mały, ponieważ uczniowie ci często ulegają wpływom i namowom rodziców oraz znajomych. Warto podkreślić, iż takich decyzji znacznie mniej dostrzegamy w dwóch pozostałych środowiskach: aż ponad 50 proc. kandydatów pochodzenia chłopskiego mówi, że wyboru deklarowanego kierunku studiów dokonało samodzielnie (w środowisku inteligenckim tego typu decyzje podkreśla zaledwie 9 proc. maturzystów). Szczegółowa analiza zaobserwowanego zjawiska wydaje się wskazywać na głęboko zakorzeniony w środowisku inteligenckim pogląd, że dziecko z takiej rodziny musi podjąć studia zupełnie niezależnie od tego, czy je podjąć może, czy posiada ku temu uzdolnienia i chęci do nauki. Z tego także wynikają tzw. bodźce ambicjonalne, które niejako każą podejmować studia „atrakcyjne" i szanowane w opinii inteligenckich rodzin. Rzadko zaś podobną motywację spotykamy w aspiracjach młodzieży pochodzenia chłopskiego i robotniczego, bowiem w środowiskach tych mamy do czynienia z dążeniami do szybkiego usamodzielnienia się, co przynosi preferencję studiów dających konkretny zawód i możliwość społecznego awansu. O ile więc w środowisku chłopskim i robotniczym obserwujemy czynnik pozytywnej selekcji, ułatwiający przejście do wyższych warstw jednostkom aktywnym, przedsiębiorczym i zdolnym, to w środowisku inteligenckim selekcja ta, wskutek wymienionych wyżej wysiłków i starań rodziców, zostaje poważnie osłabiona.

Niewątpliwie wpływa to na większą powszechność dążeń do wykształcenia wyższego, wyrażającą się w masowości zgłoszeń, nie przesądzając jednak o ich autentyzmie. Potwierdzają to szczegółowe motywy analizowanych decyzji, wśród których nierzadko dominują takie czynniki, jak: pragnienie zdobycia wiedzy dla własnej przyjemności, łatwe studia czy atrakcyjność studenckiego życia. Częste są również wypadki zapisywania się na kierunki, do których zgłasza się mniejsza liczba kandydatów, a więc szansa dostania się jest większa. Tym osobom w dużej mierze jest obojętne, co będą studiować, bo ich jedyną ambicją jest ukończenie studiów, a ściślej mówiąc — uzyskania dyplomu.

Znaczny jednak procent kandydatów twierdzi, że dokonany wybór jest zgodny z ich kierunkiem zainteresowań. Czy rzeczywiście tak jest? Śmiem twierdzić że tak, ale mam powody, by uważać, iż zapewnienia o zainteresowaniach w wielu przypadkach są tylko deklaratywne, gdyż — jak wynika z

Fot. A. Połnkowski

przeprowadzonych badań — nie są one uwierzytelniane znajomością wybranej dyscypliny studiów, ani też nie odpowiadają zamiłowaniom mierzonym aktywną pracą w szkolnych kołach zainteresowań. Ogólnie rzecz biorąc, czynnik zainteresowań zwykle bywa utożsamiany z dobrymi ocenami z przedmiotów egzaminacyjnych i łatwością ich uczenia się. Chodzi głównie o to, aby zdać egzamin, a później jakoś to będzie. A przecież nie zawsze przedmioty egzaminacyjne są odbiciem całości programów studiów. Zdarzają się więc osoby, które pragną studiować psychologię, bo nie lubią przedmiotów ścisłych, oczywiście nie wiedząc o tym, że studia psychologiczne obejmują matematykę i statystykę matematyczną. Podobnie dzieje się z decyzjami zawodowymi, z których wynika, że dla wielu kandydatów wizja przyszłej pracy jest w ogóle nieznana lub błędnie wyobrażana. Młodzież pragnie „kimś być", ale nie zawsze zamierza pracować w wybranym zawodzie. W takich sytuacjach podkreślana jest tylko wartość samego dyplomu i związana z tym sposobność uzyskania kierowniczej pozycji w strukturze zawodowej społeczeństwa. Szczególnie wyraźnie mówią o tym kandydaci pochodzenia inteligenckiego i młodzież zamieszkała w dużych ośrodkach miejskich. Natomiast uczniowie z innych środowisk, a zwłaszcza kandydaci pochodzenia chłopskiego, wybierając zawód często zwracają uwagę na jego społeczną użyteczność. Niekiedy tego typu motywacja wynika z chęci niesienia pomocy ludziom nieszczęśliwym. Czasem nierozwiązane konflikty, np. pedagogiczne, są powodem, dla którego młodzież wybiera zawód, aby później naprawiać popełnione błędy. Również trwałe cechy zewnętrzne, np. zgrabna sylwetka, czy ładny głos, decydują, że ktoś pragnie zostać artystą, pomimo iż wiedzę o tym zawodzie posiada bardzo skromną.

Takie i podobne względy prowadzą w konsekwencji do poważnego rozdźwięku między liczbą aspirujących do studiów, a możliwościami kształcenia w uczelniach wyższych. Nie jest bowiem dla nikogo tajemnicą, że corocznie komisje egzaminacyjne odrzucają znaczny procent kandydatów ubiegających się o indeksy. Dlatego należałoby dołożyć wszelkich starań, aby z istniejących aktualnie miejsc w szkołach wyższych korzystała młodzież najbardziej do tego predysponowana, bowiem tylko to pozwala na rzetelne studiowanie, a co za tym idzie — na dorobienie się wysokiej kultury ogólnej i specjalistycznej.

Kazimierz Iwaszko

---

błębie stanie się jednak ekonomicznym motorem województwa, czymś swojskim i decydującym zarazem o kierunku przeobrażeń społeczno-kulturalnych na Lubelszczyźnie. Zasięg terytorialny jego zakładów, wielotysięczna rzesza pracowników, potencjał gospodarczy i wewnętrzna dynamika struktury organizacyjnej — oto elementy, które prawdopodobnie całkowicie przekreślą granicę między tym, co „lubelskie", a tym co „węglowe". I dlatego właśnie, już obecnie opracowuje się raporty o stanie poszczególnych dziedzin kultury regionu, które mają stanowić punkt wyjścia do dyskusji nad programem wspólnego działania. Mamy nadzieję, że ludziom kształtującym techniczną i socjalną treść powstającego zagłębia nie obca jest świadomość, że inwestowanie w kulturę jest dziś równie ważne jak rozwijanie technologii, a ponadto — że inwestowanie w kulturę Lubelszczyzny jest właściwie równoznaczne ze stwarzaniem lepszych warunków życia dla załóg przyszłych kopalń, zakładów przetwórczych, biur projektowych, dla pracowników administracji.

Można przypuszczać, że większość tych ludzi mieszka dziś w Chełmie, Parczewie, we wsiach włodawskich i lubartowskich. Nie ulega wątpliwości, że związanie się z przemysłem węglowym zmusi ich do zdobywania nowych kwalifikacji, do podnoszenia wiedzy, do nowego widzenia świata. Spora grupa zacznie odwiedzać lokalne biblioteki, szukając literatury fachowej, encyklopedii, słowników. Czasami je znajdzie, ale tylko c z a s a m i. Struktura księgozbiorów w tych placówkach — przede wszystkim w powiecie włodawskim — wymaga zasadniczego przemeblowania, które bez wsparcia finansowego z zewnątrz nie będzie możliwe. Ci, którzy zaczną rozglądać się za nowościami literatury pięknej, również mogą znaleźć się w kłopocie. Czego jeszcze brak tym bibliotekom? Krzeseł, regałów, sprzętu technicznego, telefonów. Wymiana zużytych gratów, które zalegają obecnie placówki gminne i ich filie, kosztowałaby niemal 5 mln zł.

Lubelskie Zagłębie Węglowe ma być zespołem nowoczesnych obiektów, stosujących nowoczesne technologie produkcji. Tam wszystko ma być na wysoki połysk. Możemy mieć nadzieję, że jego refleks padnie również na kulturę regionu. Zanosi się zatem na to, że będę zmuszony odwołać pomówienie autorów raportu bibliotecznego o „wspaniałą naiwność".

Ireneusz J. Kamiński

Zbigniew Włodzimierz Fronczek

OSTATNIE TANGO CZYLI KONCERT NA CELE DOBROCZYNNE

Przeminie miłość – zapewnia nas
chór wykolejeńców ostatnich mohikanów naszej
rozrywki
zbierających datki na dom spokojnej starości

wpatruję się w zawartość butelki
bo cóż lepiej potrafi
obudzić metafizyczne uczucia artysty
gdy kornik toczy beczki pomysłów słoje
wyobraźni

ktoś rzuca śledziem
komuś grożę zębem noża
uspokaja nas
Julia
właścicielka gospody a właściwie domu
publicznego

bo cóż lepiej potrafi
ostudzić buntownicze zapały
niż gest kobiety
dobrego serca i miękkiego ciała
której pępek jest przylądkiem dobrej nadziei
a brzuch najpiękniejszym portem świata

przybyłem tu po latach niebytności
by posłuchać tej melodii i bajań
starego Antoniego

czułem się jednak jak święty Franciszek
na lekcjach wychowania seksualnego
a obraz który namalowałem dla niej
sprawiał wrażenie wędzonego dorsza
idącego na punkt krwiodawstwa

ona
tańczyła jak żadna z dziewcząt
uśmiechając się i prowokując

biła północ
piec stygł brakowało wódki
ostatnie tango dopalało się
do końca
pragnąłem jej jak nigdy
dość już nasłuchałem się Antoniego
o Hiszpanii, feudalizmie i inkwizycji
chciałem
aby teraz przemówiły jej uda
językiem kaloryferów

Matylda Wełna

ŚWIĄTKI

Świątki orane niby bruzdy ziemi
chropowate brzozy smutku i troski
wiersze dłubane cierniem akacjowym
w słojach lipy buka sosny

dłuto raniące linie dotkliwe
struchlałe wióry wstają od deski
twarze jak studnie rysy jak skiby
są w tej uznojonej pieśni

madeje swarów bogowie wódki
drzazgi zadziory bolesnego drewna

ckliwe kobiety o piersiach pożniwnych
niwy podobne do ciężarnych niewiast

wierzbowe klątwy rzezane nadzieje
po kolana we łzach po szyję w radości
krzyżowe morgi ilaste zwyczaje
po siwiznę jarką jak czeremcha w maju

światowidy chrystki janusy leluje
o żyznych dłoniach urodzajnych stopach
drzewo orane samo siebie czuje
słowo ciosane jak lipowa łupa

Kamena str. 5

ESTRADA W NATARCIU?

Istvan Grabowski

O EKSPORCIE polskiej piosenki za granicę mówi się i pisze wiele przy najprzeróżniejszych okazjach. Na ten temat wypowiadają się krytycy, działacze muzyczni jak i najbardziej zainteresowani, piosenkarze. Wszyscy są zgodnego zdania, szanse na wylansowanie polskiego szlagieru teoretycznie istnieją. Utwierdza ich w tym jeszcze niebywały sukces Baby Wintona I piosenki „Melodia miłości", sprzedanej dotychczas w 10 milionach egzemplarzy płyt.

Rzeczywiście możliwości jest wiele. Wymieńmy choćby najważniejsze. Międzynarodowy Festiwal Piosenki w Sopocie czy targi płyt, taśm i wydawnictw muzycznych MIDEM w Cannes. Rokrocznie Agencja Autorska, PWM i Pagart uczestnicząc w obu imprezach usiłują zainteresować zagranicznych kontrahentów i speców od muzyki naszymi propozycjami. Cóż, dotychczas jakoś bez skutku. Gdybyśmy zestawili dotychczasowe sukcesy polskich artystów za granicą, okazałyby się znikome. Jak do tej pory żaden polski piosenkarz, ani żadna grupa muzyczna (wyłączając oczywiście kilku jazzmanów) nie zdobyli sławy światowej. Polska piosenka znana nieco w krajach obozu socjalistycznego (i to głównie w NRD, Czechosłowacji i Związku Radzieckim) pozostaje nadal nieznana zachodniej publiczności. Nadzieje pokładane w legendarnym już dziś panu Kingstonie, właścicielu niewielkiej wytwórni brytyjskiej SPARK, który rzekomo miał wylansować polski przebój, spaliły na panewce. Zawiodły też próby samych piosenkarzy, usiłujących poprzez własne możliwości wylansować się za granicą. Czołowa nasza gwiazda eksportowa — Czesław Niemen rozpoczął szturm od Włoch. Wkrótce jednakże niesprzyjające mu okoliczności w postaci bariery językowej i niechętnej mu postawy włoskich publikatorów sprawiły, że Niemen po dwu latach usilnych zabiegów pozostał tam właściwie niezauważony. Niezrażony porażką spróbował szczęścia w RFN i nagrał dla tamtejszej filii CBS trzy albumy: „Stranges is this world", „Ode to Venus" i „Rusische Lieder". A tu sytuacja powtórzyła się. Nagrane przez Niemena płyty przyniosły jedynie stratę producentowi.

Niedawno na rynku brytyjskim ukazała się nowa płyta Niemena „Mourners rhapsody", nagrana w USA na przełomie listopada i grudnia 1973 roku. Również i ta propozycja nie rokuje żadnych nadziei. Obawa przed kolejnym fiaskiem okazała się tak wielka, że producent nie zaryzykował już wydania jej w USA i wydał ją w Anglii, gdzie szansa na wylansowanie jest jeszcze bardziej dyskusyjna. Zapytany o losy płyty Niemen wypowiada się na ten temat dość ogólnikowo.

Od kilku lat nasi piosenkarze próbują swych sił we Francji. Nagrywają tam ze zmiennym szczęściem: Krystyna Konarska, Helena Majdaniec, Michaj Burano i Irena Jarocka, jednak ich wysiłki nawet przy chęci dobrej woli trudno by nazwać sukcesem. Utalentowany Burano śpiewający swobodnie w kilku językach stara się co prawda robić samodzielną karierę jako John Mike Arllow ale jak na razie nie udało mu się wyjść poza stadium prób. Własnych sił próbuje na zachodnim rynku najmłodsza polska grupa SBB. Choć prasa nadała temu wydarzeniu wielki rozgłos grupie nie udało się jeszcze nagrać całej płyty, mimo iż kilkakrotnie odwiedzała w tym celu RFN. Niestety, nasze niepowodzenia nie ograniczają się tylko do nagrań płytowych.

Podobnie rzecz ma się z koncertami za granicą czołowych polskich artystów. Najczęściej ograniczają się one do występów w maleńkich klubach, szkółkach parafialnych lub po prostu w knajpach. Wszystkie dotychczasowe sukcesy święciły polskie zespoły wśród Polonii amerykańskiej, przy wydatnej pomocy niestrudzonego impresaria polonijnego, Jana Wojewódki. Nigdy nie był to koncert przed zachodnią publicznością. Po prostu zbyt małe doświadczenie i nieznajomość języka automatycznie niemal wykluczają z nich naszych wykonawców. Okazuje się, że tylko trzech piosenkarzy zna jako tako angielski, by móc w nim śpiewać bez kartki, natomiast jeden może się również sam zapowiedzieć.

Wobec ograniczonej możliwości zrobienia kariery, większość muzyków wyjeżdża do Skandynawii. Tam grają do tańca w lokalach gastronomicznych a za uciułane pieniądze kupują sprzęt elektroakustyczny, w Polsce praktycznie nie osiągalny. Czasem wracają do kraju, choć większość zostaje tam na stałe. Od kilku lat niebywałe triumfy święci w Finlandii nasza znakomita niegdyś gwiazda rock-and-rolla — Bogusław Wyrobek. W jego ślady poszło wielu muzyków (W. Bernolak, A. Pułaski, A. Zaucha). Według najnowszych danych Pagartu, każdego dnia gra w zachodnich lokalach rozrywkowych około 150 polskich zespołów. Z pewnością nie stanowią one o sukcesie polskiej estrady.

Niemałą sensację wywołują występy w nocnych klubach Nowego Jorku kilku naszych muzyków, usiłujących na własną rękę podbić Amerykę. Wśród nich znajdują się ogromnie kiedyś popularni Krzysztof Klenczon, Maciej Kossowski i wielka nadzieja jazzowej wokalistyki, ex-członek Novi Singers — Bernard Kawka, grający do tańca (o zgrozo!) na flecie w ludowym stroju kujawiaka.

Warto by się zastanowić czy działalność ich nie jest słuszna. Ostatecznie cel uświęca środki.

Elżbieta Dmoch z „2 + 1" Fot. T. Lach

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ

Zdjęcie przedstawia: Wincentego Stankiewicza w czasie służby w XVI Wojenno — Drogowym Oddziale armii carskiej, złożonym w większości z Polaków; W. Stankiewicz mieszka obecnie w Lublinie, pisaliśmy o nim w 6 numerze „Kameny", błędnie wskazując jego postać na zamieszczonym wówczas zdjęciu, co obecnie naprawiamy, przepraszając właściciela barwnego życiorysu.

Data wykonania: 1915 rok.

Autor:?

Nadawca: Wincenty Stankiewicz, Lublin, ul. Krańcowa 112 m. 44.

◆ KLUB STAREJ FOTOGRAFII ◆ KLUB STAREJ

„Debiut" Anny Kamieńskiej w 1975 roku

DZIENNIKARZE redagujący studencki dodatek do „Kuriera Lubelskiego" „Konfrontacje" zaapelowali do czytelników, aby nadsyłali do redakcji płody swojej twórczości, to jest wiersze, opowiadania, fotografie, rysunki itp.

Po rozpatrzeniu i ocenie nadesłanych prac młodzi mecenasi kultury zobowiązali się drukować najciekawsze teksty. Inicjatywa godna uwagi, bo miejsca na wiersze w pismach literackich coraz mniej, konkurentów przybywa, gdyż Polacy to naród w pisaniu wierszy rozmiłowany. Z pomocą co prawda przychodzą inne periodyki, jak „Zielony Sztandar" czy „Nowa Wieś", drukujące na swych łamach wiersze, co niewątpliwie potwierdza fakt, że poezja zbłądziła pod strzechy.

Słynna grupa poetycka Samsara zamierzała podobno organizować wystawy swoich wierszy w szaletach miejskich. Być może doczekalibyśmy tej niecodziennej wystawy, gdyby nie ostrzeżono w porę popularyzatorów poezji, że maszynopisy zastąpią papier toaletowy.

Ale wróćmy do wspomnianej inicjatywy „Konfrontacji". W środę, 9 kwietnia, ukazał się numer, w którym redakcja poinformowała o nadesłaniu m. innymi kilkudziesięciu wierszy, z których wybrano najlepsze. Jednakże już w pierwszym dodatku „twórczości" inicjatorzy tej imprezy padli ofiarą swej naiwności (czytaj: niewiedzy). Wydrukowano mianowicie wiersze Macieja Rybackiego i Marii Kamienieckiej. Zamieszczono także notki biograficzne, z których dowiedzieliśmy się, że kolega Maciej, student III roku weterynarii, drukował już w „Radarze", „Przemianach" i „Nowym Medyku", natomiast poezja koleżanki Marii, studentki I roku, nie znalazła jeszcze uznania w żadnej redakcji, debiut jej ułatwia jedynie inicjatywa redaktorów „Konfrontacji".

Najzabawniejszym był jedynie fakt, że nazwiskiem Macieja Rybackiego opatrzone były wiersze Zbigniewa Herberta, nazwiskiem zaś Marii Kamienieckiej wiersze Anny Kamieńskiej.

Nasuwa się jeden wniosek. Redagującym dział „twórczości" w „Konfrontacjach" na pewno podobały się także inne wiersze Herberta i Kamieńskiej. Odsyłam zatem do lektury tej znakomitej zresztą pary poetów. Wszak Adam Zagajewski, siewca fermentu w naszej najmłodszej literaturze, ostrzegający w jednym że swoich wierszy czytelników przed lekturą utworów Jastruna, w żadnym innym wierszu nie wspomina nawet, aby nie czytać wymienionych tutaj poetów.

Głowa do góry, młodzi redaktorzy! Nie tylko wy padliście ofiarą takich dowcipów. Podobnych żarcików w naszym życiu literackim nazbierało się sporo. Do dziś w pewnych kręgach opowiada się o fakcie, kiedy to kierownikowi działu literackiego w poważnym piśmie jeden z adeptów pióra przyniósł do oceny opowiadanie, które, nawiasem mówiąc, sam mistrz popełnił kilkanaście lat wcześniej. Teraz jednak przeczytawszy opowiadanie, zwrócił je młodemu koledze ze słowami: bzdur nie drukujemy.

Jest w tej smutnej historii także nutka optymistyczna. Wielu młodych poetów utrzymuje, że przy ocenie wierszy nie ma kryteriów, krytyk zaś staje się rzekomo bezradny wobec konieczności oddzielenia wierszy dobrych od przeciętnych. Moim zdaniem młodzi redaktorzy zadali kłam tym pogłoskom. Potrafili bezbłędnie wybrać najlepsze wiersze z kilkudziesięciu nadesłanych.

A więc bądźcie optymistami, poeci — dobry wiersz z pewnością nigdy nie pozostanie niezauważony.

Laszcz

P. S.

Sugerowałbym, aby w przypadku, gdy pani Kamieńska i pan Herbert odmówią przyjęcia honorarium, przesłać je na Centrum Zdrowia Dziecka.

GARMONDEM

„KULTURA" (nr 17) w osobie Ewy Berberyusz rozpisała pośród krajowych specjalistów-seksuologów rodzaj ankiety. Wśród pytań znalazło się następujące: „Kazirodztwo to tabu jakiej natury?". Oto trzy odpowiedzi: „Natury obyczajowej. Żadnych powodów biologicznych nie ma" (A. Jaczewski); „Powszechne mniemanie o degeneracji potomstwa (poczętego drogą kazirodczą) wydaje się być naciągane" (M. Kozakiewicz); „Wielowiekowe doświadczenie społeczne, stojące na straży zdrowia biologicznego i moralnego. Współczesna genetyka potwierdza sens tego zakazu" (E. Sujak). Nie wiadomo, czy akurat sprawa kazirodztwa należy do najpoważniejszych zagadnień polskiej seksuologii stosowanej, wynika jednak z ankiety, że naukowa refleksja nad seksem bardzo niepewna jest.

pod

KANADYJSKA FUNDACJA WŁADYSŁAWA REYMONTA

PAN Julian Dobranowski, obywatel Kanady, jest człowiekiem w średnim wieku, bezpośrednim w sposobie bycia. Od osiemnastu lat mieszka w Kanadzie, od pewnego czasu prezesuje Fundacji Władysława Reymonta. Jest to organizacja młoda, lecz bardzo ruchliwa. Utworzona kilka lat temu przez Związek Polaków w Kanadzie, cieszy się życzliwym zainteresowaniem rządu tego państwa, o czym świadczą m. in. wcale spore dotacje, zasilające jej kasę. A sprawa to niebagatelna, jeśli weźmie się pod uwagę choćby 200 tysięcy dolarów, jakie kosztowała już akcja kierowania młodzieży polonijnej na kursy wakacyjne do naszego kraju.

Jak wynika z informacyjnej broszury, której okładkę wypełnia znana fotografia autora „Chłopów", celem Fundacji jest:

finansowa pomoc akademickiej młodzieży Polonii Kanadyjskiej w postaci rocznych stypendiów i zapomóg;
wspieranie akcji oświatowej wśród młodzieży Polonii Kanadyjskiej, studia o Polsce i Polakach z ewentualnym wysyłaniem studentów na uniwersytety w Polsce, co pobudzi poczucie dumy z polskiego pochodzenia wśród dorastającej tu młodzieży;
szerzenie wiedzy o Polsce i polskich wkładach do światowej cywilizacji, a w szczególności w Kanadzie, co przyczyni się do lepszego współżycia z resztą obywateli Kanady;
zalecanie wśród młodego pokolenia Polonii Kanadyjskiej potrzeb wyższego wykształcenia, co umożliwi mu zdobywanie odpowiednich stanowisk w życiu politycznym i gospodarczym Kanady;
wspieranie i zalecanie nauk polonistyki na uczelniach kanadyjskich;
fachowa obrona dobrego imienia Polski i Polonii Kanadyjskiej.

Pan Julian Dobranowski odwiedził Lublin przy końcu kwietnia. Podejmowany m. in. przez Polonijne Centrum Kulturalno - Oświatowe UMCS, zwiedził dzielnicę uniwersytecką i niektóre jej obiekty. O warunkach, jakie oferujemy młodzieży polonijnej zaproszonej na różnorakie kursy wakacyjne, miał już przecież pewne wyobrażenie. Przebywająca w ubiegłym roku w Lublinie liczna grupa Kanadyjczyków polskiego pochodzenia (m. in. kurs choreograficzny) bardzo pochlebnie oceniła przyjęcie zgotowane jej przez gospodarzy, śląc nawet do kuratorium Fundacji — 15 osób działających społecznie — pełne serdeczności listy. Dodajmy, że właśnie J. Dobranowski sugerował niegdyś potrzebę utworzenia czegoś w rodzaju naszego Centrum; jak wiadomo, ta agenda UMCS od niedawna istnieje.

Powracając do Fundacji: jej powołanie wiąże się bezpośrednio z coraz mocniejszym w środowiskach polonijnych pragnieniem konkretyzacji własnego rodowodu; tendencja ta występuje zresztą także wśród innych grup narodowościowych.

Polonia kanadyjska ma złożoną postać, co po części można wytłumaczyć wielkością kraju: inne problemy życiowe profiluja świadomość ludzi mieszkających nad Pacyfikiem, inne — tych, którzy wznieśli domy na północy czy wschodnim wybrzeżu. Dość powszechna przecież wydaje się być owa skłonność do szukania w tradycji i współczesności elementów „made in Poland". W drugim czy trzecim pokoleniu owe dążenia są nawet dość sprecyzowane i wyraźniej zmierzają do sfery spraw określających dzień dzisiejszy. Zapewne te właśnie okoliczności — nie mówiąc już o przychylnym stosunku do inicjatywy ze strony władz kanadyjskich i o aktywności działaczy polonijnych — wpłynęły na pomyślne zakończenie starań o wprowadzenie nauki języka polskiego do jednego z liceów w Toronto.

Obecnie fundacja przygotowuje uroczyste obchody 50-lecia śmierci patrona, laureata Nagrody Nobla.

My zaś — w przekonaniu, że stanie się to dobrą tradycją — czekamy na następną grupę młodych Kanadyjczyków narodowości polskiej, mającą latem przyjechać do Lublina po wiedzę o Polsce.

IJK

GODZINA Z „OSTATNIM MOHIKANINEM"

— Ma pan bodaj najdłuższy staż na stanowisku dyrektora „Domu Książki" w kraju. Czy to oznacza również, że prywatnie jest pan zamiłowanym bibliofilem? — zwracam się do Władysława Wójcika, dyrektora „Domu Książki" w Lublinie.

— W naszym mieście zwą mnie „Ostatnim Mohikaninem", jako że swe stanowisko piastuję już 23 lata. Do tej pracy przeszedłem z aparatu partyjnego, ale zamiłowanie do książek ciągnie się za mną od młodości czy nawet dzieciństwa. Uważam jednak, iż prywatną bibliotekę mam raczej słabą. Encyklopedie i słowniki głównie oraz nauka o literaturze. To ostatnie przede wszystkim ze względów profesjonalnych. Bibliofilstwo jest kosztownym upodobaniem.

— A zatem książki w Polsce są drogie?

— Mimo wszystko, to znaczy mimo, iż ludzie czasem narzekają, książka w Polsce jest tania, gdyby porównać ceny europejskie. Co innego jednak kupowanie książek przypadkowe, co innego zaś kompletowanie jednolitego księgozbioru, które wymaga i środków i pasji.

— Mówi się też, że wydawane w Polsce książki pod względem poziomu graficznego i edytorskiego nie dorównują poziomowi książek w innych krajach Europy.

— Jest to pogląd błędny, szczególnie w odniesieniu do ostatnich lat. Mamy znakomitych grafików i plastyków w tym przemyśle, a nawet pod względem poligraficznego wykonania utrzymujemy się w czołówce europejskiej...

— Ale ten „pogląd błędny" istnieje i byłoby ciekawe, skąd się bierze?

— Może stąd, iż ludzie oglądają na rozmaitych wystawach międzynarodowych najlepsze książki, jakie ma do zaoferowania dany kraj, a nie oglądają przeciętnej produkcji wydawniczej tego kraju. Może też stąd, iż polskie książki, nawet te najpiękniej opracowane i wydane, posiadają czasem sporo braków technicznych.

— Jakiego rodzaju są to braki, jaka firma polska tutaj „przoduje" i dlaczego?

— No cóż, niezadrukowane strony, rozsypujące się egzemplarze, źle wszyte arkusze, brak stron, książki poplamione farbą drukarską... Każdy taki egzemplarz musimy opisać i odesłać drukarni, która albo zwraca pieniądze przedsiębiorstwu, albo poprawia książkę. Roboty z tym mnóstwo, i dla nas, i dla drukarni, jeśli zważyć, iż pośród odbieranych co miesiąc przez nasze województwo książek 20 tysięcy posiada defekty, co oznacza tyle samo nieudanych zakupów czytelniczych. A w dodatku nabywca, nie wiadomo dlaczego, kieruje swoje pretensje w stronę księgarzy.

— ?

— Zaraz nam tu pracownik przyniesie wykaz „grzeszników"... O, proszę: Łódzka Drukarnia Dziełowa, Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie, stołeczny Dom Słowa Polskiego, Zakłady Graficzne im. Kasprzaka w Poznaniu... Ale powiem panu, że w NRD czy Czechosłowacji, gdzie niby poligrafia stoi lepiej niż w Polsce, wcale lepiej nie wygląda sprawa braków technicznych. Oto na przykład wydrukowane przez „Artię" w Pradze polskie tłumaczenie „Wielkiego atlasu ptaków" J. Hauzáka, ile w nim stronic niezadrukowanych... Jeśli idzie o krajową poligrafię, to problem tkwi chyba przede wszystkim w maszynach i urządzeniach oraz napiętych planach i mocach produkcyjnych. Wolałbym zresztą, żeby się na ten temat wypowiedzieli bezpośrednio zainteresowani.

— Z jednej więc strony krajowy rynek księgarski jest raczej rynkiem producenta, a z drugiej strony odzywają się głosy o „końcu epoki Gutenberga". Jak to pogodzić?

— Kategorycznie zaprzeczam jakimkolwiek „zmierzchom epoki Gutenberga". Nie idzie już nawet o to, że coraz częściej ostatnio mówi się o nerwicy telewizyjnej, ale o to po prostu, że nic nie zastąpi lektury książki, tego specyficznego intymnego przeżycia. Pamięta pan, jak w związku z rozwojem kina mówiło się o końcu teatru, w związku zaś z rozwojem telewizji grzebało się nie tylko teatr, ale również kino. Rzeczywistość ośmieszyła te przedwczesne „pogrzeby". Tak będzie i w tym przypadku. Inna sprawa to pewne niedostatki książkowe na rynku krajowym, z czego jednak nie czyniłbym fetysza. Jeśli myślę o brakach, to głównie w zakresie książki podręcznej i użytkowej: wszelkiego rodzaju słowników i encyklopedii, no i nieśmiertelnej książki kucharskiej, której ostatnio na województwo dostaliśmy 1650 egzemplarzy, a chętnie wzięlibyśmy 25 tysięcy! Inni nakład książek kucharskich regulują według liczby małżeństw zawieranych w ciągu roku, biorąc za podstawę 75 procent nowo zawartych małżeństw. Okazuje się, że polskich młodych małżonków nie satysfakcjonują zastępcze książeczki na temat stu potraw ze śledzia.

— Domyślam się więc, że jest nienajgorzej z literaturą piękną...

— Wyjąwszy może arcydzieła prozy światowej...

— A jak jest z literaturą fachową?

— Ilościowo stoimy dobrze, tyle że w związku z nadmierną długością cyklu wydawniczo-produkcyjnego książki, nie zawsze literatura ta nadąża za aktualnymi potrzebami, szczególnie rolnictwa, jeśliby szło na przykład o budownictwo wiejskie, ogrodnictwo wielkoprodukcyjne, żywienie zwierząt. Mamy książki o małych chlewniach, potrzeba nam książek o dużych chlewniach...

— Czasem idzie tutaj w ogóle o nakłady. Za Rodziewiczówną ludzie się rozbijają, za literaturą... seksuologiczną również. Podobno dobra książka beletrystyczna powinna żyć w księgarni około pięciu lat, a żyje parę godzin. Tak samo książka popularnonaukowa, szczególnie z zakresu prognozowania. Co się działo z „Granicami wzrostu", choć, oczywiście, ze względów ideowych należałoby tę pozycję dawkować ostrożnie! Nakład był raczej informacyjny.

— Ta ostatnia uwaga słuszna i mogąca się uogólniać. Ponadto sytuacja przemysłu poligraficznego jest taka, jaka jest, i nie zmienimy jej z dnia na dzień. Ja bym się tylko zastanawiał doraźnie nad większą elastycznością w zakresie istniejących możliwości. Choćby sprawa debiutów. Moim zdaniem, każdego rodzaju debiut autorski powinien się ukazywać pierwotnie w nakładzie nie większym niż 1000—1500 egzemplarzy, pod warunkiem, że się nie będzie na razie rozrzucało składu drukarskiego. Kiedy okaże się, iż książka chwyciła na rynku, można „dodrukować" jeszcze z 5000—6000 egzemplarzy. Popyt na pierwszą książkę mógłby regulować nakład drugiej książki tego samego autora. Nie potrzeba nam powieści i zbiorów poetyckich żyjących po 10 lat w księgarniach, zapomnianych i właściwie martwych, a wydawanych w 10 tysiącach egzemplarzy.

— Jest jeszcze sprawa giełd i przecen.

— Przede wszystkim jest sprawa rozbudowy sieci antykwariatów i działów antykwarycznych w księgarniach. Poprawa sytuacji w tym zakresie mogłaby poważnie usprawnić społeczny obieg książki.

— Jakie jest pańskie najpoważniejsze zmartwienie jako dyrektora takiego przedsiębiorstwa?

— W Lublinie, dajmy na to, potrzeba księgarni o powierzchni użytkowej około 2—3 tysięcy metrów kwadratowych, a największa nasza księgarnia ma 300 metrów. Co ja będę panu dalej mówił?! Utarło się, że u nas nie zawsze bywa dobrze z nakładami i poziomem poligrafii. To półprawda, w dodatku pokrętna. U nas problemem jest głównie stan sieci handlującej książką, a przecież sieć handlowa w kraju ostatnio się poprawia, miejmy więc nadzieję... Aktualnie na rynku krajowym istnieje 30 tysięcy tytułów w sprzedaży, jakaś część tej masy może nie trafić do potencjalnego nabywcy, właśnie ze względu na to, że nie zostanie należycie wyeksponowana i zareklamowana.

— Ale przecież istnieje reklama książki w prasie i telewizji.

— To jest czasem antyreklama: omawia się czy prezentuje pozycje, których albo jeszcze nie ma na rynku, albo które już zdążyły zniknąć. Działalność przedwczesna lub zbyt późna, niestety. Marzy mi się przy każdym przedsiębiorstwie „Domu Książki" mała poligrafia dla potrzeb informacyjno-reklamowych, marzy mi się...

— Cokolwiek by się powiedziało o kłopotach zawodu księgarza, tradycyjnie już wychodzi na to, że ludzi macie w branży oddanych i zapalonych.

— Tak, tak, weźmy na przykład suchy wskaźnik sprzedaży książek na jednego mieszkańca. Z lubelskich powiatów na pierwszym miejscu sytuują się Puławy, następnie Chełm (miasto Lublin pomijam), i to naturalne, bo to przecie skupiska przemysłowe. Ale trzecie miejsce dzierży... Janów Lubelski, rolniczy i niewielki powiat. Tam po prostu personel niedużej księgarni składa się z fanatyków księgarstwa. Chciałbym, żeby pan to wyraźnie zaznaczył: oni robią o wiele więcej niżby tego wymagała pragmatyka służbowa.

— Pamiętam, że kiedyś rozmawiałem z panem dyrektorem na temat wymagań zawodowych, stawianych księgarzowi.

— Rozmawialiśmy, owszem. I można by tu wymienić kilkanaście cech, od zwykłej kultury językowej zaczynając, poprzez absolutnie konieczną systematyczność, a na znajomości ludzkiej psychiki kończąc, nie mówiąc już o cierpliwości, bo handel książką to jest specyficzny handel i specyficznego ma klienta. A ponadto w sporej księgarni pracownik musi miesięcznie przemieścić 10 ton książek! Gdyby ta księgarnia była znacznie większa, można by te prace zmechanizować!...

Rozmawiał: **M. Podgórski**

WROCŁAW NAD BYSTRZYCĄ

Jerzy Dostatni

W TRADYCJI mojej rodziny Wrocław często zajmował eksponowane miejsce. Dwóch wujów tam właśnie kończyło studia — jeszcze przed pierwszą wojną światową. Stryj zmarł w pobliskim Sycowie pod koniec drugiej wojny. Trzeci wuj w czasie plebiscytu śląskiego pod przybranym nazwiskiem prof. Ciesielskiego agitował za Polską, zapuszczając się nawet w okolice tego miasta — za co później hitlerowcy umieścili go w obozie koncentracyjnym a Polska Ludowa uhonorowała Komandorią Orderu Odrodzenia Polski.

Pierwszy raz zobaczyłem to miasto w połowie października 1944 roku przez wąskie, zabite kolczastym drutem okienko wagonu towarowego. Wieziono nas po powstaniu z Warszawy, właściwie Ożarowa, przez Częstochowę do... — nikt z nas nie wiedział, dokąd. W niecałej połowie wagonu tłoczyło się nas trzydziestu, głodnych, brudnych, nierzadko rannych lub chorych — w drugiej połowie, oddzielonej także drutami kolczastymi, wycelowany w nas karabin maszynowy i sześciu żołnierzy Wehrmachtu z pistoletami maszynowymi. Dojechaliśmy cało do Łambinowic, ale wtedy, w pociągu nikt z nas nie był pewien, czy będzie żył jeszcze za godzinę...

Ktoś krzyknął: to Psie Pole! Głowy pochyliły się bliżej okienka, jakby w małym, szybko uciekającym krajobrazie można było dostrzec coś, co pozostało jako pamiątka sprzed — jak ktoś dokładnie obliczył — 835 lat. Ale oto już gęsto zabudowana część miasta. Nigdzie nie widać gruzów. Na ulicach jednak bardzo mało ludzi, przeważnie kobiety, trochę żołnierzy i policjantów. Nasi strażnicy odbezpieczając broń, zmuszają nas do położenia się na podłogę stukającego na rozjazdach wagonu.

Nie mogliśmy wiedzieć wtedy, że na rozkaz Guderiana, mianowanego po lipcowym zamachu na „wodza" szefem sztabu generalnego wojsk lądowych, wokół Wrocławia budowano pospiesznie trzy niezwykle silnie umocnione linie obronne. Nie wiedzieliśmy też później, zagubieni w ewakuacyjnym marszu na bocznych drogach gdzieś między Szczecinem a Bremą, że 15 lutego 1945 roku wojska radzieckie 1 Frontu Ukraińskiego, dowodzone przez marszałka Iwana Koniewa, w ramach tzw. operacji dolnośląskiej zamknęły po raz drugi i już ostatecznie pierścień okrążający wokół „Festung Breslau".

Uczestnicy walk i historycy dokładnie opisali owe 11 następnych tygodni, kiedy to bez chwili przerwy, chociaż z różnym natężeniem, toczyła się mordercza bitwa o Wrocław. Właśnie przed kilku tygodniami ukazała się nakładem tamtejszego Ossolineum książka Ryszarda Majewskiego i Teresy Sozańskiej „Bitwa o Wrocław", relacjonująca dzień po dniu owe jedenastotygodniowe zmagania. Więc tylko garść odosobnionych faktów.

Przewidując długotrwałą obronę, w magazynach miasta hitlerowcy zgromadzili m. in. 32 tys. półtuszy świń, 150 tys. zajęcy i kilka milionów jaj. Pierwsze bomby z samolotów radzieckich spadły już 18 stycznia 1945 r. Od 20 stycznia do 8 lutego ewakuowano z milionowego miasta około 650 tys. osób cywilnych, z których około 80 tys zginęło z powodu potwornych warunków tej panicznej ewakuacji. 28 stycznia hitlerowcy przeprowadzają pierwszą publiczną egzekucję swojego rodaka — wiceburmistrza Spielhagena, który chciał też opuścić miasto. W lutym burzy się około stu domów mieszkalnych, aby zbudować lotnisko (dzisiejszy plac Grunwaldzki). Przy tych pracach zginęło 13 tys. ludzi, najwięcej zresztą Niemców — z lotniska wystartował tylko jeden samolot, którym uciekł gauleiter Hanke. Hitler w swoim testamencie mianował go Reichsführerem SS i szefem policji na miejsce „zdrajcy" Himmlera.

Bilans ostateczny: 8 tys. poległych żołnierzy i oficerów radzieckich, 7 tys. niemieckich, 80 tys. ludności cywilnej, 22 tys. domów zamienionych na 18 milionów m sześć. gruzu, 40 tys. jeńców niemieckich...

9 maja po południu nad domem przy ul. Poniatowskiego 27 pojawia się biało-czerwona flaga, a wewnątrz rozpoczynał urzędowanie pierwszy prezydent miasta — Bolesław Drobner, mianowany na to stanowisko 14 marca. 26 maja odbywa się pierwsza defilada zwycięskowa, dziesięciu dywizji polskich i radzieckich, wracających spod Berlina i Drezna. 10 czerwca ukazuje się pierwsza gazeta („Nasz Wrocław") 8 września w budynku jako tako uprzątniętym budynku opery ludzie płaczą na premierze „Halki", 15 listopada odbywa się pierwszy wykład w uczelni, która jest zarazem Uniwersytetem i Politechniką. Na balu sylwestrowym 31 grudnia 1946 roku rektor prof. dr Stanisław Kulczyński jako pierwszy wrocławianin pojawia się publicznie w fraku, co wtedy wywołuje kontrowersje na dosyć wysokich szczeblach...

Ja osobiście już od kilku miesięcy, licząc wstecz od tego balu, znów jestem we Wrocławiu. Pracuję w redakcji o bardzo niegramatycznym tytule — „Naprzód Dolnośląski", zmienionej następnego roku na „Wrocławski Kurier Ilustrowany". Wkrótce mamy siedem wydań, w tym aż dla województwa szczecińskiego, sto tysięcy nakładu. Poniemiecka drukarnia przy ul. Wierzbowej uchowała się jakimś cudem, jest nawet arcybogate archiwum fotografii i matryc z całego świata. Ale brakuje polerowanej blachy na klisze. Odnajdujemy ją pod gruzami jakiejś hali „Pafawagu", wywozimy — po daremnych pertraktacjach z kierownictwem fabryki — samochodem wojskowym dostarczonym nam przez wielkiego przyjaciela dziennikarzy gen. Stanisława Popławskiego.

Początkowo wraz z rodziną mieszkam na strychu, więc rozglądam się za normalnym mieszkaniem. Przy ul. Gierymskich odnajduję całą wolną willę. Ale w ogrodzie ktoś ustawił ze dwadzieścia uli z pszczołami. Wygłodniałe owady skutecznie odstraszały ewentualnych kandydatów, w tym i mnie. Potem chcę się ulokować w jednej z kamienic śródmieścia, mieszkanie na pierwszym piętrze nie jest najbardziej zniszczone. Jednak władzie kwaterunkowe wmawiają mi, że muszę wziąć przydział na całą kamienicę, bo potrzeba jest tam dozorca.

Mówimy, że Wrocław leży nad Odrą. W rzeczywistości przez miasto przepływa 17 rzeczułek i strumieni, w tym przez 17 km płynie rzeczka — Bystrzyca. Dłuższa od naszej, lubelskiej o 39 km, a w której tzw. średni przepływ wody jest 40 razy większy. Aby zaś było ciekawiej — nad ową wrocławską Bystrzycą oprócz miasta wojewódzkiego leży także jeszcze miasto powiatowe — ale nie Bystrzyca Kłodzka, tylko Świdnica.

W zachowanym meldunku gen. Wasilija Kłokowa z 6 maja 1945 roku można przeczytać: *W dniu dzisiejszym o godz. 19,20 w południowej części Wrocławia dowódca twierdzy generał piechoty Niehoff podpisał bezwzględną kapitulację...* I dopiero całkiem niedawno przed kilku miesiącami, ustalono, że odbyło się to w zachowanym do dziś domu przy ul. Rapackiego 1, zwanym wówczas willą Colonia. Niehoff siedział tam cały tydzień, prosząc i błagając o rozmowę z marszałkiem Koniewem. Marszałek jednak miał inne sprawy na głowie niż bezużyteczną już rozmowę z burzycielem miasta.

W pierwszych tygodniach po wyzwoleniu nie było we Wrocławiu ani jednej ulicy czy choćby uliczki, po

PRELEGENT

ŻYCIORYSY sławnych ludzi poznaje młodzież w szkołach, życiorysy wybitniejszych polityków, działaczy, ludzi nauki i sztuki drukuje prasa przy różnych okazjach. Nauczyciel Jan Bownik, jak miliony przeciętnych śmiertelników, streszczał swój życiorys jedynie na kancelaryjnym arkuszu papieru jako załącznik do podań lub akt personalnych. Toteż jego życiorys jest prawie nieznany, jakkolwiek w nim koncentrują się dzieje wielkiej wsi z najtrudniejszych lat i czasów, gdy cały naród był wystawiony na najcięższą próbę.

Przyjechał do Wilkołaza w 1931 roku jako młody człowiek. Uczenie dzieci przedmiotów według obowiązujących programów nie zaspokajało jego ambicji: miał we krwi zamiłowanie do muzyki odziedziczone po ojcu, uprawiającym ziemię w Świeciechowie, gdzie Wisła mieniła się tysiącem barw w szerokim krajobrazie. Chłopiec wyniósł z domu wrażliwość na piękno. Przepadał za muzyką, fascynował go teatr, zaczął więc poza szkołą szukać pokrewnych dusz. Znalazł w Wilkołazie dwunastu gospodarzy ze skłonnością do muzykowania, wśród nich kontrabasistę, który grywał kiedyś z ojcem Stefana Rachonia. Dwunastka utworzyła kapelę ludową, zdobywając sobie coraz szerszy rozgłos.

Siły nauczyciela zdawały się być niewyczerpane, jego talent dogadywania się z ludźmi przyciągał coraz więcej amatorów piękna. Pod jego batutą śpiewał w Wilkołazie 40-osobowy chór męski, znalazły się talenty sceniczne. Zespół teatralny wystawiał sztuki: „Chata za wsią", wodewil ludowy, „Walkowe wesele", „Polskie jasełka". Duszą wszystkich zespołów był Jan Bownik.

• • •

Jeśli zagrzmią armaty — milkną muzy. Rozśpiewana, rozmuzykowana wieś Wilkołaz zamilkła na długich pięć lat okupacji. Każdy starał się przetrwać ten okres. Jedni próbowali jak krety zaryć się pod ziemię przed wrogiem, by ujść zagładzie, drudzy żyli dniem dzisiejszym nie wiedząc czy doczekają jutra, różni handlarze próbowali łowić ryby w mętnej wodzie, jeszcze inni szli do lasu. Nauczyciel Bownik z natury twardy jak chłop i zawzięty na robotę, nie myślał siedzieć z założonymi rękami. Pieśń i muzykę odłożył na lepsze czasy, z własnej i ludzkiej woli zajął się ratowaniem tych, z którymi bezlitośnie postąpił okupant. Podjął się funkcji przewodniczącego i opiekuna na całą gminę Polskiego Komitetu Opiekuńczego i Polskiego Czerwonego Krzyża. Pełnił je „na słowo", licząc jedynie na dobrą wolę ludzi. Cała robota polegała na wzajemnym zaufaniu i wierze w słuszność sprawy.

Już w grudniu 1939 roku wyładowano w Wilkołazie pierwszą partię 900 wysiedleńców z Poznania i okolic, po niej przywieziono drugą, równie liczną, z Łodzi, Kalisza i Turka. W najtrudniejszym położeniu znaleźli się wysiedleni rolnicy i robotnicy, którzy musieli stanąć do nisko płatnej pracy dorywczej, jeszcze krytyczniejsze było położenie wielodzietnych matek. Dla nich należało zdobywać odzież, żywność, obuwie, zabiegać o przydziały opału. Wrażliwsi na ludzką niedolę gospodarze zabrali dzieci wysiedlonych do swoich lepiej ogrzewanych izb i często je żywili. W bardzo mroźny dzień Bownik, zaszedłszy do izby wysiedlonej matki, Mikołajczykowej zastał ją jak sadzała kolejne dzieci do ogrzania na blasze kuchennej, pod którą tliło się surowe drewno.

Przednówek w 1943 roku był bardzo ciężki. Niemcy rozgrabili chłopskie zapasy zboża tak gruntownie, że nie było czym obsiać pola. Do izby wysiedleńców wdarło się widmo głodu. Jan Bownik znalazł wtedy dwóch ochotników i wyruszył furą na zbiórkę żywności. W izbie zamożnego gospodarza Wnuczka wyczuł zapach świeżego chleba, gospodynię zastał w piwnicy nad chlebem wyłożonym na ławie. Chwycił jeden bochenek mówiąc, że to dla wysiedlonych matek. Gospodyni jednak wyrwała go, lamentując, że ten chleb musi jej wystarczyć do żniw. Bownik nie puścił bochenka, życzył jej, aby przetrwała w swoim domu do końca wojny i nie zaznała głodu ani poniewierki wysiedleńców, „zawsze lepiej dać sto razy niż raz wyciągnąć rękę po pomoc" — zakończył. To kobietę poruszyło. Pod koniec dnia wóz był naładowany mąką, chlebem, kaszą i kilkoma metrami ziemniaków.

Maj 1943 roku był piękny, tymczasem życie ludzi stawało się coraz cięższe. Z Kraśnika dotarła do nauczyciela wiadomość, że konieczna jest pomoc więźniom na Majdanku i Zamku Lubelskim, potrzebowali jej też jeńcy wojenni w Niemczech. Nauczyciel udał się do Urzędu Gminnego na zebranie sołtysów. Półszeptem przedstawił sytuację (za ścianą była hitlerowska żandarmeria), prosił o pomoc, która pozwoliłaby utrzymać się przy życiu tysiącom Polaków. Ówczesny wójt, Kaszyński, poparł go i zwrócił się do 18 sołtysów z rozkazem: „Chleb dla Polaków musi się znaleźć". Było to ostatnie zarządzenie wójta-patrioty. Najbliższej nocy gestapo aresztowało go wraz z wieloma mieszkańcami Wilkołaza i wywiozło na lubelski Zamek. Zginął w obozie koncentracyjnym Giesen, lecz rozkaz sołtysi wykonali: Utworzyli wioskowe komitety opiekuńcze, które działały do samego wyzwolenia. Na ręce Jana Bownika zaczęły nadchodzić dziesiątki ton żywności oraz dziesiątki tysięcy złotych gotówką. On sam uniknął pewnej nocy aresztowania, ale hitlerowcy wywieźli wówczas (razem z innymi) na lubelski Zamek niejakiego Goldę, nauczyciela spod Tarnowa, który mieszkał u gospodarza Wojtysiaka z żoną i pięciorgiem dzieci. Cała rodzina była zdana na łaskę losu. Na Zamku żywili Goldę współtowarzysze niedoli z Wilkołaza: nauczyciel Bownik i rolnik Wojtysiak posyłali mu paczki.

Kiedyś znów po powrocie z żoną z lekcji w szkole zastał Bownik na progu swego domu trupiobladego mężczyznę w papierowej czapce. Na szkielecie obciągniętym skórą wisiał postrzępiony mundur polskiego żołnierza. Przybysz siedział oparty o kostur, w głęboko zapadniętych oczodołach ledwie widoczne były źrenice. Ludzki cień w milczeniu podał nauczycielowi list, w którym jedna z wysiedlonych do niedalekich Pułankowic kobiet prosiła, żeby pomógł wybitnemu muzykowi. Zjadł on posiłek na dworze, nie chcąc wchodzić do mieszkania w zawszonym ubraniu. Później żona Bownika przygotowała w kuchni balię gorącej wody i butelkę nafty. Po wymyciu się i wyczesaniu insektów najlepszy gitarzysta z warszawskiej rozgłośni Polskiego Radia, mąż „polskiego słowika", znanej śpiewaczki Lucyny Szczepańskiej, pokazał małżeństwu nauczycieli zapadnięty bok z kilkoma wyłamanymi żebrami. Aresztowano go w stolicy i po zlikwidowaniu konfidenta, jakim okazał się przedwojenny aktor filmowy, Jerzy Mar. Szczepański przetrwał pobyt na Majdanku i w obozie Osterode, czyli dzisiejszej Ostródzie, skąd wysłano go do więzienia w Tarnowie. Gdy niewiele brakowało mu do śmierci wypuszczono go za bramę tylko w resztkach dolnej bielizny. Nad chwiejącym się na nogach nieszczęśnikiem zlitowała się jakaś kobieta przynosząc mu drewniaki i zniszczony mundur żołnierski. W nim dotarł do Lublina, gdzie miał nadzieję znaleźć swojego kolegę. Mieczysława Fogga. Nocował po stodołach i komórkach nie chcąc zawlec wszy do mieszkań. Teraz Szczepański przez szereg nocy dyrygował w mieszkaniu gościnnych nauczycieli, oni nasłuchiwali tylko, czy oddycha. Posiedziawszy cokolwiek do sił, wyjechał do Krakowa, gdzie najprawdopodobniej przetrwał do końca wojny.

4 lutego 1944 roku zniknęło z powierzchni ziemi pięć wsi w powiecie kraśnickim, stanowiących oparcie dla partyzantów. Niemcy otoczyli Szczecyn, Wólkę Szczecińską, Borów i dwa Łążki oddziałami wszystkich rodzajów broni, które zaatakowały równocześnie. Oszalałe matki rzuciły się z niemowlętami do ucieczki w pola. Ocalały wówczas te, które natrafiły na żołnierzy Wehrmachtu, inne jednostki kładły trupem każdego. Pozostałe przy życiu kobiety przywieziono z dziećmi do koszar w

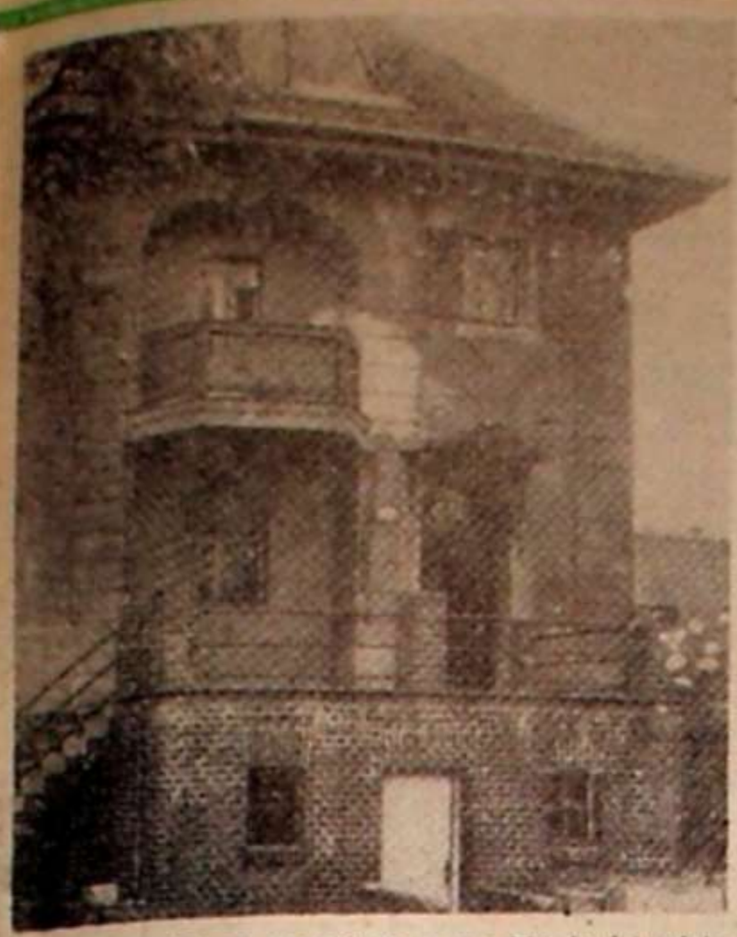

Willa „Colonia" (ul. Rapackiego 14 we Wrocławiu) miejsce kapitulacji „Festung Breslau".

której można by swobodnie przejść chodnikiem. Często gruzy na jezdni wznosiły się wyżej niż wypalone kikuty czegoś co kiedyś było domami. A jednak miasto odradzało się niezwykle szybko. Z całej Polski ciągnęli ludzie, którzy tutaj właśnie zaczynali sobie budować nowe życie. Dołączali do nich wracający z obozów koncentracyjnych i jenieckich, wywiezieni na roboty przymusowe, potem dołączyła fala repatriantów zza Buga. Obliczono później, że 40 proc. pochodziło ze wsi, drugie 40 proc. z małych miast. Co piąty przyjechał z woj. poznańskiego, co dziesiąty — to dawny mieszkaniec Warszawy. Mój sąsiad, profesor Politechniki, po wykładach na zmianę reperował dach i konstruował coś w rodzaju samochodu z dziesięciu porzuconych wraków, coś co potem nawet jeździło przez ponad dwa lata.

Nie było wtedy dyplomów, nagród, czy premii za wynalazczość i racjonalizację, nikt tych pomysłów nie rejestrował, jeżeli nie liczyć pojedyńczych informacji w prasie, ale chyba już nigdy potem nie było takiej wielkiej mnogości pomysłów racjonalizatorskich: przy remontowaniu domów i szkół, uruchamianiu fabryk i tramwajów, doprowadzaniu elektryczności i wody. 26 stycznia 1946 r. „Pafawag" przekazał kolei 100 pierwszych węglarek. Nieco później jakiś inowrocławianin przedwojenny urzędnik pocztowy, z trzech luf armatnich buduje trzy prymitywne tłocznie oleju i sam siebie mianuje dyrektorem „Państwowej olejarni nr 1", jej głównym mechanikiem i zaopatrzeniowcem, a równocześnie dychawiczną DKW przywozi — nie wiadomo skąd — coraz to nowe wory rzepakowego ziarna. Na placu Nankiera tworzy się targowisko, w porównaniu z którym wysiadają największe „pchle targi" świata. Ja sam o mały figiel nie staję się właścicielem (?) mebli, należących kiedyś do rozstrzelanego wiceburmistrza.

Ale nie wszystko układało się cudownie. Jak zawsze w takim okresie, dochodzi do spięć i wynaturzeń. Są ludzie, którzy szeptaną propagandą nie tylko podkopują wzrastający z dnia na dzień autorytet młodej władzy, ale namawiają do „siedzenia na walizkach", bo przecież Wrocław nie pozostanie w Polsce. Już od zmierzchu zdarzają się napady z bronią w ręku — z reguły okazuje się, że są to pozostali jeszcze hitlerowcy i folksdojcze. W redakcji krajowy i zagraniczny serwis informacyjny sporządzam wyłącznie z nasłuchu radiowego, powielany biuletyn PAP przyjedzie koleją dopiero za dwa dni. O północy wracam do domu ciężarówką w towarzystwie dwóch uzbrojonych strażników. Na Sępolnie w ciągu trzech miesięcy notuje się ponad dwadzieścia napadów rabunkowych na mieszkania — w tym i moje, wreszcie milicja aresztuje całą szajkę, złożoną wyłącznie z folksdojczów. W jednym z budynków urzędowych porucznik MO z Lublina, Andrzej K., dziś kapitan na emeryturze, spotkał człowieka — również w mundurze — którego jako członka bandy UPA przez wiele miesięcy daremnie poszukiwał pod Hrubieszowem. Spotkanie kończy się samobójstwem tamtego.

Mieszali się tu ludzie różnego wieku i obyczaju, pochodzenia i gwary, wykształcenia i doświadczeń życiowych. Były początkowo nieśmiałe tendencje aby kultywować dawne odrębności, ale wspólna praca, wspólne kłopoty szybko niwelowały wszelkie różnice. Do dzisiaj nie przetrwały nawet w kręgach towarzyskich znajomości. Ponad połowa dzisiejszych mieszkańców ma już metryki wrocławskie. Podobnie zresztą, jak na całym Dolnym Śląsku, gdzie każdego dnia rodzi się 120 nowych obywateli, a 75 par przysięga sobie miłość i wierność, no — nie zawsze dotrzymywaną dozgonnie. Typowy dziś wrocławianin to dziewczyna lat 28 — mówią mi znajomi, co notuję z tym większą satysfakcją, że taka jest właśnie moja córka, urodzona i mieszkająca w tym mieście, chociaż wychowana w Lublinie.

— Mało kto wie — powiada prezydent miasta, Marian Czuliński — że Wrocław to trzecie z kolei, po Katowicach i Warszawie, najbardziej uprzemysłowione miasto Polski; 3 proc. ogólnokrajowej produkcji, chociaż jego mieszkańcy stanowią tylko 1,7 proc. ludności kraju. Dominuje u nas przemysł elektromaszynowy, niemal wszystkie jego dziedziny — od pralek i kuchenek poprzez lokomotywy i wagony do sterowanych numerycznie obrabiarek i komputerów. Nie wiem czemu jakoś cicho jest o tym, że mamy również dość dobrze rozwinięty przemysł stoczniowy, produkujemy jednostki pływające nie tylko po rzekach, ale i po przybrzeżnych wodach wielu mórz świata. Ukształtowała się już u nas silna, świadoma klasa robotnicza o bardzo wysokich kwalifikacjach. Ciągłemu wzrostowi tych kwalifikacji sprzyja prężne zaplecze naukowe, przede wszystkim jeżeli chodzi o elektronikę i matematykę. W 8 wyższych uczelniach mamy 41 tys. studentów, w placówkach naukowo-badawczych i rozwojowych pracuje 17 tys. osób z tytułami naukowymi. Ten potężny potencjał naukowy jest u nas od początku wyjątkowo silnie związany z życiem codziennym i jego perspektywami.

— Kiedyś, na początku, mieliśmy wielu analfabetów — dodaje dyrektor Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego, Jan Soyta. — Dziś po Poznaniu i Warszawie nasi mieszkańcy czytają najwięcej gazet i czasopism. Mamy 10 muzeów, w tym np. jedyne w kraju Muzeum Architektury, 2 uczelnie plastyczne i Wyższą Szkołę Teatralną w organizacji, 6 teatrów, operę, operetkę i filharmonię, niezwykle czynne i zasobne Ossolineum, 6 szkół muzycznych, 500 plastyków, 54 członków ZLP. Ale nie tylko o statystykę chodzi. Teatr Grotowskiego, Kalambur, festiwale oratoryjno-kantatowy czy jazz nad Odrą zdobyły rangę nawet poza granicami Europy. Teatr Polski ma 1212 miejsc, a rzadko kiedy jest kilka wolnych. Filharmonia ma 115 proc. frekwencji przy sali z 500 miejscami, bo na każdym koncercie zapełnione są także korytarze i schody. To wszystko nie mieści się już w tradycyjnym pojęciu kultury, ale ma swoje wysoce pozytywne konsekwencje w całym naszym życiu polityczno-społecznym, a także gospodarczym. Wypływa z autentycznego, powszechnego zaangażowania twórców i zapotrzebowania masy odbiorców.

Z trudem przedzieram się przez uliczki starego Wrocławia, z trudem, bo niemal na każdej z nich coś się buduje lub remontuje, a w dodatku przebija wielką arterię śródmiejską. Na Rynku, jak każdy z przybyszów, podziwiam wspaniały ratusz, o którym Kraszewski napisał: *Któż policzy te wszystkie siatkowe ganeczki, hojnie poobrzucane meandrami z koronek, owe Bóg wie jak trzymające się wieżyczki, które zdaje się zdmuchnąć można, owe rozliczne dziwadełka, wydrzeźniające się spod dzierganych balkonów, konsoli, wiszadełek, nastrzępionych w żabki, strzałki, poprzerywane ostrołuczki...*

I zaraz przypomina mi się list 17-letniego żołnierza radzieckiego Aleksandra Fiedotowa, cytowany w książce „Bitwa o Wrocław", który 9 maja 1945 roku napisał do matki: *Może to śmieszne, Mamo, ale to, o czym najbardziej marzyłem w czasie ostatnich miesięcy — to cisza (...) Poszedłem nad rzekę i przez dwie godziny gapiłem się na płynącą wodę. A wieczorem po raz pierwszy w życiu słyszałem jak w krzakach śpiewają słowiki.*

Dzisiaj słowików jest znacznie więcej. Mają do dyspozycji 23 parki i rozliczne zieleńce — razem 540 ha.

Z WALIZKĄ

Marcin Ruta

Kraśniku, gdzie gnębiło je zimno i wszawica. Później rozesłano je do okolicznych wsi. Gospodarz Jerzy Wronka z Wilkołaza zabrał na swój wóz matkę z pięciorgiem dzieci w cienkich sukienczynach. On i inni furmani zrzucili kurtki i kożuchy na okrycie dzieci, sami biegli obok wozu żeby nie przemarznąć. We wsi przygotowano mieszkanie, pozostałe po zamordowanym kierowniku, ścieląc dużo słomy na podłodze i paląc mocno w piecach. Jedna z przywiezionych matek, niejaka Natalińska ze Szczecyna, w szoku nie była w stanie rozewrzeć ust, musiano jej szczęki rozluźnić łyżeczką. Dopiero wtedy połknęła gorące mleko tak łapczywie, że naskórek zszedł z warg. Następnego dnia rolnicy zabrali do swoich domów matki z niemowlętami i pojedyńcze dzieci. Wkrótce Jan Bownik we wsi Zalesie na zebraniu w sprawie kontyngentów zebrał od chłopów na rzecz PCK na pomoc dla matek ze Szczecyna 1800 złotych.

Pierwszym uchodźcą zza Buga, który trafił do Wilkołaza, był Julian Horodecki, późniejszy sekretarz Rady Państwa. W czerwcu 1944 roku zatrzymała się tam rodzina syna wielkopolskiego powstańca, który uciekł przed faszystowskimi bandami z Wołynia. Wycieńczona żona zmarła w Wilkołazie przy połogu, został ojciec z pięciorgiem dzieci. Chłopi i nauczyciel Bownik pomagali mu, jak mogli. Od tego biedaka dwaj księża w Wilkołazie za pochowanie żony zażądali wysokiej zapłaty. Nie pomogły żadne interwencje ani też fakt, że uciekinier był siostrzeńcem biskupa, więzionego w obozie koncentracyjnym...

Bezpośrednio po wyzwoleniu Lubelszczyzny gmina Wilkołaz zgromadziła dla walczącej Warszawy dary wartości 65 tysięcy złotych (lub 210 kwintali żyta). Do szpitala PCK w Kraśniku, gdzie leżeli ranni od min i niewypałów rolnicy z przyfrontowej strefy na Powiślu, zawiózł Bownik ze swojej gminy w sierpniu 1944 roku trzy wozy mąki, ziemniaków i kasz, 72 kurczaki, 12 poduszek, 18 prześcieradeł i ponad sto sztuk bielizny osobistej. A w czasie wojny przez jego ręce przeszły dziesiątki ton żywności i dziesiątki tysięcy złotych, ofiarowanych przez rolników.

Wspomnienia Jana Bownika z czasów okupacji zostały wyróżnione w konkursie ogłoszonym w 1970 roku przez dyrekcję Muzeum Majdanka. Wręczając mu nagrodę dr Tadeusz Mencel oświadczył: „Nie było równego panu działacza na odcinku lubelskiej wsi, rolnicy z gminy Wilkołaz dali dowody wielkiego patriotyzmu".

W zakończeniu swoich wspomnień nauczyciel Bownik stwierdził: *Moja praca w czasie wojny była bardzo pożyteczna. wypełniłem ją wprawdzie bez broni, ale jak żołnierz trwając na posterunku od grudnia 1939 roku do ostatniego dnia wojny. Stanowi ona najpiękniejszą kartę mego życia, gdyż miała wybitnie patriotyczny charakter. Podtrzymywała ona duchową więź między rodakami i pomagała wielu ludziom w przetrwaniu najcięższych czasów.*

• • •

Gdy zamilkły armaty, w Janie Bowniku dochodzi do głosu dawny entuzjasta muzyki. Z podwójną energią organizuje szkolny chór i zespół muzyczny, do chóru mieszanego dorosłych ściąga pół setki ludzi, reprezentujących już dwa pokolenia, wskrzesza dwunastoosobową kapelę. Zespoły artystyczne z Wilkołaza występują w Kraśniku, Lublinie, Kazimierzu nad Wisłą, uczestniczą w widowisku na centralnych dożynkach. Po wystawieniu sztuki Józefa Korzeniowskiego „Karpaccy górale" zespół teatralny zdobywa nagrodę ministra Kultury i Sztuki.

Ale dla Bownika to wszystko mało: angażuje się jako prelegent Towarzystwa Wiedzy Powszechnej, jeździ z wykładami do wsi w swojej gminie i w powiecie. W 1956 roku organizuje w Wilkołazie pierwszy Uniwersytet Powszechny na Lubelszczyźnie z setką słuchaczy, który jest czynny przez sześć lat.

Jan Bownik

Czas liczony na pracowite dni szybko uciekał, zbliżała się jesień życia nauczyciela-zapaleńca. Wielką dla niego satysfakcją za trud była dekoracja w Belwederze Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski w 1969 roku. Więź z naturą, istniejąca od dziecinnych lat nad Wisłą, odzywa się coraz mocniej, górę zaczyna brać zainteresowanie wiedzą rolniczą. Początek dała temu prawdopodobnie dwuletnia praca na stanowisku kierownika ośrodka rolnego w Gościeradowie tuż po wyzwoleniu. Ściągnął wtedy 17 rolników z pługami do zaorania 30 hektarów odłogów. Był to właściwie krótki epizod, gdyż wrócił do Wilkołaza ale zaczął jako samouk wertować literaturę rolniczą. Niewielki ogród przy domu od lat stanowił jego laboratorium doświadczalne, sprowadzał do niego cenne odmiany drzew owocowych z Krakowa i Górnej Niwy, a także dla niektórych rolników. Za jego sprawą założyli sady gospodarze: Stanisław Chmielnik, Zbigniew Ciołek i Eugeniusz Koper.

W 1968 roku stanął Jan Bownik przed metą z napisem: „koniec wieku produkcyjnego". Emerytura, pustka w domu po śmierci żony, córka w dużym mieście ma swoje samodzielne życie. Nasz działacz zdaje sobie sprawę, że człowiek tylko do pewnego czasu może być „na chodzie". Ale wie także, ile może jeszcze dać z siebie rolnikom. Jeździ więc starszy pan z wykładami TWP na temat ogrodnictwa i sadownictwa po powiatach janowskim i kraśnickim, wygłasza odczyty również w szkołach przysposobienia rolniczego. Wyrusza na nie zawsze nie z cienką teczką, ale z walizą wypchaną próbkami nawozów, preparatami chemicznymi, narzędziami ogrodniczymi, różnymi nasionami, katalogami szkółkarskimi, różnymi poradnikami i pismami. Bez tych pomocy naukowych nie widzi sensu spotkań ze słuchaczami.

Gospodynie rozchwytywały jego nasiona pomidorów, biorąc od niego doskonały przepis na pomidorową musztardę.

— Muszę wyskakiwać do przodu, bo chłopi sami wielu rzeczy nie odkryją — mówi Bownik. — Potrzebne im wiadomości praktyczne są rozrzucone w różnych broszurach i pracach. Przeciętny rolnik nie ma czasu i wprawy w ich doszukiwaniu się. Nie można tego brać za złą wolę. Puste słowa nic mu nie dają, wszystko trzeba pokazywać...

Jeśli komuś zdarzy się w autobusie lub na furmance spotkać prelegenta, jadącego z walizą na wykład do rolników, niech zdejmie czapkę z głowy, gdyż należy mu się głęboki szacunek. Pokolenie działaczy pokroju Jana Bownika urodziło się po to, żeby w najcięższych dla narodu czasach dźwigać innych na duchu i torować drogę wiedzy. Pokolenie to wykrusza się szybko, pozostali już tylko ostatni jego Mohikanie. A my jakże często rezygnujemy z ich wielkiej mądrości życiowej, której nie wszczepi żaden podręcznik, gdyż trzeba ją zdobywać własnym doświadczeniem całego życia!

Kamena str. 9

NOWOCZEŚNIE A WIERNIE

Maria Bechczyc - Rudnicka

JEDNĄ z najokazalszych pozycji lubelskiego programu tegorocznych Dni Kultury Radzieckiej, pozycją nader atrakcyjną, były niewątpliwie występy Białoruskiego Akademickiego Teatru im. Janki Kupały. Ta prezentacja na pierwszej odrodzonej scenie dramatycznej Polski Ludowej — osiągnięć artystycznych czołowej sceny BSRR dała Lublinowi tym większą satysfakcję, że za poprzednim swym przyjazdem do Polski teatr miński odwiedził tylko Warszawę, Łódź i Białystok.

Mnie osobiście trzy obecne spektakle zasłużonego dla Białorusi teatru przyniosły niemałą radość poznawczą, m. in. stając się bodźcem do uzupełniania mojej żenująco niedostatecznej wiedzy o twórczości poetyckiej i dramatopisarskiej wielkiego patrona pierwszego zawodowego teatru białoruskiego. Przy okazji poszukiwań w bibliotekach stwierdziłam, niestety, że dwudziestolecie międzywojenne pozostawiło nam w spadku rażące zaniedbanie pracy przekładowej nad poezją Janki Kupały. Świadczy o tym choćby wstęp do pierwszego powojennego polskiego zbiorku jego wierszy, wydanego przez TPP-R w Warszawie, autor bowiem owego wstępu informuje, iż przystępując do opracowania mógł zebrać po ludziach zaledwie trzynaście gotowych przekładów, potem przybyło, o ile dobrze pamiętam jeszcze osiem. Najcelniejsze wyszły spod pióra Kazimierza Andrzeja Jaworskiego. Poczesne też miejsce zajmuje nieodżałowany KAJ w zbiorku z 1962 r., opublikowanym przez PIW. Nawiasem mówiąc, przyjemność powinna sprawić lublinianom wiadomość, że inicjatorem (i jednym z tłumaczy) tego wydania był Bogdan Żyranik, który przez lat kilka należał do Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Co się zaś tyczy „Zburzonego gniazda", to wytropiłam oryginał w niemal 1000-stronicowym tomie „JANKA KUPAŁA — Wybranyja twory", wydaniu mińskim z 1952 r. Szkoda, że przeczytałam sztukę dopiero po przedstawieniu, lecz i tak pożytek był z lektury oczywisty — pełniejsze docenienie walorów tekstu i pomysłów inscenizatora.

Program trzech gościnnych spektakli białoruskiego teatru z Mińska zawiera interesujący zarys historyczny, napisany przez dyr. Iwana Michaluto; nasz Pagart nie zatroszczył się jednak o włączenie do swego prospektu jakiegoś popularnego artykułu bio-bibliograficznego poświęconego Jance Kupale. Może więc nie będzie zbędna na tym miejscu informacja, że wśród ogromnego dorobku poety jest parę poematów udramatyzowanych, jak np. „Pieśń odwieczna", „Na popasie", no i komedia prozą „Paulinka". Ale w sensie faktury dramaturgicznej największy ciężar gatunkowy ma bezsprzecznie pokazane nam „Zburzone gniazdo".

Głównym źródłem twórczości Kupały była bez wątpienia mówiona białoruska poezja ludowa (literacki język białoruski, jak wiadomo, dopiero on sam tworzył wraz z Jakubem Kołasem), ale w r. 1913, kiedy powstało „Zburzone gniazdo", Janka Kupała miał już poza sobą lektury dzieł Mickiewicza, Puszkina, Konopnickiej, Niekrasowa, Kolcowa, Gorkiego i wielu innych znakomitych pisarzy. Nieprzeciętną rolę w rozwoju jego talentu odegrał Maksym Gorki, który już w r. 1911, w artykule „O pisarzach — samoukach", zwraca na Kupałę uwagę czytelników „Sowriemiennogo Mira" i zamieszcza rosyjski przekład wiersza „A kto tam idzie", nadmieniając, iż wiersz ten mógłby stać się na pewien czas białoruskim hymnem narodowym.

„Zburzone gniazdo" jest dramatem historycznym, a zarazem w pewnym stopniu autobiograficznym. Autobiograficznym o tyle, że punktem wyjścia fabuły był tu autentyczny fakt pozbawienia dziada poety, Onufrego, domu i kawałka gruntu, ojcowizny Łucewiczów (rodowe nazwisko Kupały), pochodzących z zaściankowej szlachty. Krzywdzicielem był książę Radziwiłł (sprawa jakiegoś wielkopańskiego widzimisię). Proces, który doprowadza w sztuce rodzinę chłopską do ostatecznej ruiny, staje się motorem akcji pozwalającej na odmalowanie niedoli prostego ludu białoruskiego. Historyczny zaś jest ów dramat na skutek „kompresji" faktów i warunków bytowych, jakiej dokonał poeta przenosząc przypadek swego dziadka z końca w. XIX w czasy poprzedzające bezpośrednio rewolucję 1905 roku, a pisząc o tym, jak się rzekło, w r. 1913, czyli z kolei w przededniu I wojny światowej. Tym procederem uzyskuje wszakże Kupała wierny obraz odwiecznej najczarniejszej nędzy chłopa (zresztą siłą rzeczy — nie tylko białoruskiego), której relikty przetrwały aż do Rewolucji Październikowej.

Białoruski Akademicki Teatr im. J. Kupały. Scena ze sztuki „Trybunał" — A. Makajonka.

Reżyser — inscenizator Borys Łucenko, scenograf Borys Gierwołan, wraz z kompozytorem tła muzycznego, S. Kortesem tudzież z całą obsadą „Zburzonego gniazda" — dostarczyli spektaklem sztuki Janka Kupały niezbitego dowodu, że potrafią nadać nowoczesny kształt sceniczny dziełu klasycznemu nie fałszując jego wymowy treściowej, ani intencji formalnych autora. Jak to robią? Przede wszystkim za dozwolony, więcej — za pożądany chwyt inscenizatora uważać należy interpolację wierszy poety do jego tekstu dramaturgicznego — wzmacnia się w ten sposób akcent romantyczny utworu. A już wręcz zachwycająca była prezentacja w „miejscu do grania" — jakby fragmentu skansenu, z jego urzekającym dziś urokiem retro. Albo ta w głębi sceny monumentalna struktura, nadająca sztuce większą perspektywę społeczną i artystyczną. W jej otworach ukazuje się od czasu do czasu takie np. rusałki — wizja potęgująca wymowę „ofiarniczego" monologu Zośki (mówi go ładnie B. I. Kilmienko).

Nie tylko świetnemu warsztatowi zawodowemu, lecz i subtelnemu wyczuciu piękna rodzimego folkloru zawdzięcza się wzruszającą postać Matki, jaką stworzyła S. M. Staniuta, postać, powiedziałabym — wystylizowaną na rzeźbę ludową, plastycznie doskonałą, co dostrzegamy szczególnie w momentach zamierzonego unieruchamiania. Nie zapomni widz także temperamentu scenicznego zasłużonego artysty BSRR, B. S. Biełochwostika, grającego Szymona (nie zapomni zwłaszcza jego sceny „kalwaryjnej").

Szczegółowa analiza tego spektaklu mogłaby dostarczyć materiału na cały esej, ale czas przejść do dwóch sztuk autora współczesnego, Andrieja Makajonka — zatrzymałam się dłużej przy dziele Janki Kupały ze względu na rangę założyciela podwalin pod zawodowy teatr białoruski.

A. Makajonek właściwie realizuje pieszczony i u nas od dawna, lecz rzadko wcielający się w rzeczywistość ideał dramatopisarza współpracującego z konkretnym teatrem: pisze dla sceny J. Kupały już ponad ćwierć wieku, stworzył dla niej dziewięć sztuk. Prezentacje lubelskie zainaugurowała właśnie jego tragikomedia „Trybunał". Rzecz dzieje się tu w okresie okupacji hitlerowskiej — akcja toczy się wokół kolaboracji z Niemcami wiejskiego „starosty". Nie miałam w ręku oryginału, zapytuję więc siebie, co z tym przekładem terminu w programie. Jaki „starosta"? Może po prostu — wójt czy sołtys? Zresztą mniejsza o rangi wsiowe, ostatecznie ważne jest w sztuce, że odbywa się sąd nad zdrajcą. Tylko że „trybunał" to rodzinny, stąd tragizm i komizm „w jednym żyją domu".

Inscenizacja głównego reżysera teatru, W. N. Rajewskiego, nacechowana jest wyraźną tendencją do modernizowania realizmu, połączonego z romantyzmem większego formatu. Służy temu np. stylizowana grupa płaczek, a najwięcej — scenografia A. Grigorjanca. Izbę chłopską wygospodarował on z przestrzeni scenicznej przy pomocy elementów zminimalizowanych: ot — jakaś zastawka-ścianka; w odpowiednim momencie rozsuwa się parę poziomych belek i już mamy plener z ogromnym fermem zalanym płomienną, symboliczną czerwienią.

Najbardziej udatne są sceny komiczne: amikoszoneria „władców" z podwładnymi, przy wódce — w pierwszej części, w drugiej — perypetie „starosty" Tierieszki w worku (coś trochę z ducha Gogola). W obydwu częściach rej wodzi grający przygłupiego „zdrajcę" G. C. Owsiannikow, obdarzony wybitnym talentem komika.

Wreszcie — druga sztuka A. Makajonka „Wykończony apostoł", tragikomedia całkiem współczesna; jak się wydawało ze słuchu, poprzez odmienność bratniej mowy słowiańskiej — rzecz gęsto naszpikowana dowcipem słownym. Reżyser — B. Łucenko, scenograf — B. Gierłowan, których kunszt poznaliśmy już ze „Zburzonego gniazda". Jako że temat współczesny, inscenizacja idzie z nim na całego „noga w nogę". Przejawia się to w stylu gry i w sytuacjach, ostro groteskowych.

Treścią walka pokoleń i eo ipso — jeszcze dużo więcej, metaforycznie. Co zrobiłby młodociany apostoł (w końcu „zaciukany"), gdyby był prezydentem? Rolę Syna, owego bieda-apostoła gra A. M. Mazłowski, skutecznie bawiąc i frapując widownię. Tempo żywe, przydałyby się jednak skróty. Muzyka O. Janczenki podkreśla zręcznie nowoczesność pomysłów.

Résumé: prosimy ładnie władze kulturalne o zorganizowanie wymiany artystycznej między Białoruskim Akademickim Teatrem im. Janki Kupały a lubelskim Państwowym Teatrem im. Juliusza Osterwy.

POLEMIKI • POLEMIKI • POLEMIKI • POLEMIKI •

Lubelskie sprawki historyczne

W 3 numerze „Kameny" Halina Kosienkowa ogłosiła rzecz o „Sprawach i sprawkach prawników Trybunału" w Lublinie, która zdaje się mieć pretensje do miana artykułu historycznego. Pisząc przejrzyście, lekko, barwnie i plastycznie, autorka poczyniła stoli błędy metodyczne, które fałszują obraz trybunału i miasta w oczach czytelnika nie zorientowanego w tematyce.

Przede wszystkim trafił się autorce komiczny tok logiczny. Mianowicie czytamy, że Lublin w XVI wieku — kiedy otwarto trybunał koronny w tym mieście — był brzydki, co poświadczył prozaik jakoby z XVI lub XVII wieku, J. D. Ochocki, a także późniejsi literaci, np. w 1818 r. poeta W. Kamieński. Wokół owego pnia logicznego tekst oplótł się w ten sposób, że czytelnik odnosi wrażenie, iż opinie wyrażane kiedykolwiek o Lublinie są aktualne dla całego okresu od XVI do XIX stulecia. Następnie autorka wróciła do roku 1775 i cofnęła się do Klonowica — z traktu narracji domyślić się można, że do wieku XVI albo wcześniej — aby przeskoczyć znowu do XVIII w. Owe meandry właśnie czynią artykuł esejem, choć okazuje się to dopiero na końcu lektury, gdy czytelnik zdążył wcześniej się zgubić.

W sposobie ujęcia tematu zdarzyła się Kosienkowej też niekonsekwencja. Oto w pierwszym i ostatnim ustępie zawarta autorka stwierdzenia faktograficzne, lecz w pozostałym tekście zilustrowała fakty i mity o trybunale i Lublinie anegdotami i transformacjami literackimi, a nie źródłami historycznymi: dlatego esej należy do gatunku historycznoliterackiego. Mimo to czytelnik wierzy dzięki owym „granicznym" stwierdzeniom, że Lublin w wiekach XVI—XIX miewał wyłącznie złych ludzi i był brzydkim miastem, choć kiedyś Klonowic widział Lublin cudnym i przebogatym. Owszem, autorka zaznaczyła, że Kamieński sporządził na Lublin pamflet z zemsty, ale nie odniosła tego do innych opiniodawców, ani nie wzmiankowała, iż Klonowic, jedyny mieszkaniec Lublina i lubelski urzędnik spośród cytowanych pisarzy, stworzył panegiryk. Nie wiadomo, czemu autorka nie cytuje pisarzy polskich i obcych, opisujących pozytywnie, ba! entuzjastycznie miasto i ludzi w nim działających.

Również niekonsekwentnie autorka, z jednej strony, zamknęła temat do zapowiedzianego tytułem zachowania się jurystów tylko trybunału w samym Lublinie, zaś z drugiej strony przekroczyła ramy tematu, zajmując się szeroko wyglądem całego Lublina. Wyszedł z tego autorce opis ujemnych cech Lublina i prawników trybunału.

W wyniku powyższych niedopracowań konstrukcyjnych czytelnik może uwierzyć że tylko prawnicy lubelscy byli nieuczciwi, a zniszczenie i brud cechowały jedynie Lublin. Tymczasem w średniowieczu i we wczesnej nowożytności łapownictwo i nieuczciwość stanowiły regułę sądową. Przy tym trybunał koronny nie reprezentował sądownictwa miejskiego, lecz... szlacheckie, co zresztą autorka zaznaczyła, zatem owe wykroczenia nie mogły i nie mogą obciążać mieszczan-lublinian. Zaniedbanie zaś Lublina po XVI w. oraz zrujnowanie i wyludnienie około połowy XVII w. było właściwe dla innych miast polskich. A poza tym Lublin pierwszy zaczął podnosić się ze stagnacji demograficznej już w końcu XVII w., natomiast z upadku architektonicznego — z początkiem, a nie z końcem, jak wydało się autorce, XVIII stulecia („Dzieje Lublina", t. 1).

Brak wyjaśnień o charakterze cytowanych utworów sprawił kilka nieporozumień. Spośród nich najśmieszniejszymi są: opinia poety, nie kwestionowana przez autorkę, o rynku lubelskim jako zbyt małym i interpretacja autorki, iż inny wierszopis opisał osobę Przebiegleckiego. Faktycznie zaś rynek tutejszy miał obszar równy powierzchni głównego placu w Gnieźnie czy Poznaniu, a osoba i nazwisko Przebiegleckiego tworzyły alegorię, przenośnię.

Dowiadujemy się też z artykułu o istnieniu w Księstwie Warszawskim trybunału koronnego — zlikwidowanego przecież wcześniej przez zaborcę austriackiego! Zapomniała bowiem Kosienkowa objaśnić, że wydane w roku 1818 „Przypadki" Kamieńskiego obejmują jego przeżycia z lat 1787—1791. Nie dotyczy też XVI ani XVII wieku, jak wynikałoby z kontekstu, „Pamiętnik" Ochockiego obejmujący lata 1766—1795 i wydany z rokiem 1855. Notabene należy podnieść, że ani „Przypadki" nie są „przewodnikiem", jak orzekła autorka, ani „Pamiętnik" nie wygląda na autentyk („Nowy Korbut", t. V i VI). Wreszcie warto uświadomić czytelników, iż Klonowic skomponował swój hymn pochwalny Lublina w roku 1582.

Jacek Koneczny

Kamena str. 10

Z okazji otwartej 17 maja w dolnym hallu Biblioteki UMCS wystawy pt. „Polski orzeł wojskowy wieku dwudziestego" zorganizowanej przez Stowarzyszenie Miłośników Dawnej Broni i Barwy oraz Polskie Towarzystwo Archeologiczne i Numizmatyczne publikujemy nagrodzoną na konkursie pt. „Moja pasja", ogłoszonym w ub. roku przez Wojewódzki Dom Kultury, wypowiedź Bohdana Królikowskiego na temat orła wojskowego.

Dr Królikowski, przewodniczący Lubelskiego Oddziału SMDBiB jest autorem scenariusza wymienionej wystawy oraz tekstu jej katalogu, wydanego z bibliofilską niemal pieczołowitością w 150 egz.

Działalność miłośników dawnej broni i barwy obserwujemy w naszym mieście od lat sześciu. Co jakiś czas pojawiają się w prasie komunikaty o odczytach (rzadko, bo maniacy tego typu najlepiej czują się we własnym gronie), o wystawach przez nich zorganizowanych. Przypominamy, że w 1970 r. czynna była w Bramie Krakowskiej zorganizowana przez miłośników dawnych militariów Oddział Historyczny Muzeum Okręgowego wystawa pt. „Żołnierz polski 1939 roku", której katalog ogłoszony został w 1971 r. Wśród kilku innych wystaw wspomnieć warto o dwu ubiegłorocznych („Tradycja rycerska w znaku książkowym" urządzona wraz z bibliofilami i „Szabla polska 1914—1939"), po których pozostał trwały ślad w formie katalogów autorstwa dr B. Królikowskiego.

Obecnie planuje się wystawę zbiorów militariów Muzeum Okręgowego (gdzie kierownikiem działu militariów jest mgr Zygmunt Nasalski, członek zarządu Lubelskiego Oddziału SMDBiB); współorganizatorami mają być także lubelscy miłośnicy dawnej broni i barwy, którym wypada chyba życzyć dalszej pomyślnej działalności.

Moje hobby:

POLSKI ORZEŁ WOJSKOWY

Bohdan Królikowski

PASJONUJĄ mnie dawne polskie militaria, zwłaszcza związane z kawalerią, z koniem, z szablą; nawiązujące do tradycji. Interesuję się genealogią i organizacją polskiej kawalerii, jej uzbrojeniem i umundurowaniem, od XVII wieku aż po ostatnią wojnę. Zaczątek tych zainteresowań rozbudził we mnie ojciec — ułan z I wojny światowej, potem oficer rezerwy.

Od wczesnego dzieciństwa miewałem w ręku szablę, ostrogi, oglądałem fotografie ojca w mundurze, na koniu — z wojny, z ćwiczeń, z konkursów hippicznych. Chodziliśmy na zawody konne, na defilady. W czasie spacerów dopytywałem się, co znaczą szczegóły umundurowania spotykanych wojskowych: różnokolorowe otoki na czapkach, sznury, gwiazdki, paski.

Wcześnie zacząłem marzyć o koniu, o szabli, o ułanach. Ale przyszła wojna. Skończyły się defilady i spacery z ojcem. Wrzesień przyniósł bolesne rozczarowanie. Piękne, tak dobrze znane wojsko przegrało kampanię. Zostawiło po sobie wspomnienie hełmów leżących w wiejskich opłotkach, porzuconych siodeł, zabitych koni, żołnierzy idących do niewoli, bez broni, bez pasów, bez orłów.

Mijały lata wojny. W pudełku ze „skarbami" przechowywałem nieliczne pamiątki po ojcu: parę fotografii (piękne albumy przepadły we Wrześniu), ostrogi, wstążkę od Krzyża Walecznych, parę odznak i starego orła z czapki, jeszcze krechowieckiego. W wojennej rzeczywistości obrastały legendą w dziecinnych wspomnieniach defilady, ułańskie lance, szable i proporczyki. Jednocześnie gdzieś głęboko tkwił kompleks porzuconego pod płotem hełmu, kompleks czapki z oderwanym orłem.

Szły, jedno po drugim, szare i trudne lata. Czytało się Przyborowskiego, Gąsiorowskiego i „Trylogię"; o usarii i ułanach, o Kmicicu i księciu Józefie. Czytało się i Karola Maya, ale w tym okupacyjnym dziwnym dzieciństwie, bez kina, bez westernów, bez własnych żołnierzy na ulicach znaczył on niewiele.

Po wojnie zdawało się, że ustąpiły dziecinne kompleksy. Nie było czasu na ich rozpamiętywanie. Nadal co prawda czytywało się „Trylogię" i „Huragan", dorosło się wreszcie do „Popiołów", ale ułańskich, kawaleryjskich tradycji nie było właściwie jak pielęgnować.

Przeszły lata: liceum, studia, praca. Żyło się, ale zadawniony kompleks tkwił, a orzełek leżał w szufladzie. Wreszcie tak się jakoś ułożyło, że — sam nie wiem, kiedy — stałem się miłośnikiem staropolszczyzny, tradycji polskiej kawalerii, dawnego wojska polskiego.

Zostałem wreszcie członkiem organizacji grupującej ludzi o podobnych do mego zainteresowaniach. Nie byłem jednak kolekcjonerem: parę pamiątek po ojcu, do których doszedł znaleziony gdzieś na strychu wrześniowy hełm, zawieszony na ścianie dla pamięci o tamtych, walających się przed laty w kurzu wiejskiej drogi, to przecież nie kolekcja. To zaledwie skromna ilustracja zainteresowań, dodatek do lektury, do gromadzenia wiadomości o dawnym wojsku, o jego broni i barwie.

Kult wojska, dawnego i tego sprzed wojny, zapamiętanego w dzieciństwie, w rogatywkach, z wężykami na kołnierzach, domagał się jednak jakiegoś uzewnętrznienia, zewnętrznego wyrazu. Choćby skromnego, bo przecież trudno było marzyć o karabeli czy usarskim szyszaku. Z upływem lat, obok hełmu i ostróg, powiesiłem na ścianie kilka szabel, czapkę rogatywkę, jakieś akselbanty wężyki na oficerskich kołnierzach. Pokój nabrał swoistej atmosfery. Do książek, do reprodukcji Michałowskiego, do rycin z „Accurate Vorstellung" Raspego doszedł skromny akcent historyczny. Manifestacja zainteresowań, wyraz kultu.

A co się stało z orłem, tym starym, ojcowskim? Leżał w szufladzie z garstką odznak, z paru starymi monetami, w narastającej z wolna kupce metalowych przedmiotów różnej wartości i kalibru. W przypadkowym tym zbiorku zaczęły coraz częściej pojawiać się orły — drugi z dziecinnych kompleksów. Orły — tak istotny, symboliczny akcent na mundurze, na czapce polskiego żołnierza.

Od paru lat zbierałem orły. Leżą sobie i stoją szeregami na półkach biblioteczki przypięte do kartoników. Jest ich jeszcze niezbyt wiele, ale za to nie są bynajmniej martwym zestawem eksponatów. Są moim kolejnym zainteresowaniem, pasją to może za duże słowo. Każdy z nich ma swoją historię — i tę wojenną, i tę zbieracką, mało ważną, lecz niekiedy też ciekawą — każdy przypomina jakiś mundur, czapkę, rodzaj broni, określony okres dziejów naszego wojska. A najciekawsze są te, które nabyły jakichś cech jednostkowych, indywidualnych; którym np. obcięto czy ułamano koronę bądź tylko krzyż u korony, wydrapano numer pułku, dodano sukienną podkładkę, nadłamano skrzydło, dorobiono dziureczki do przyszywania, dolutowano nakrętkę, agrafkę itp.

Orły są dla mnie przedmiotem twórczego zbieractwa. Jak realizuję tę zasadę? Nie jestem kolekcjonerem-maniakiem, nie zbieram „na ilość", nie gromadzę za wszelką cenę. Ale za to chcę wiedzieć: co zbieram, co mam. Chcę znać genealogię polskiego orła wojskowego, wiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach pojawił się na żołnierskich czapkach. Jaką miał w ciągu swych dziejów formę, jakim podlegał przeobrażeniom.

To nazywam twórczym zbieractwem: nie kolekcja jako cel sam w sobie, dla pokazywania gościom (patrzcie, ja też coś zbieram!), ale zbiór jako pomoc w pracy, co prawda tylko amatorskiej, ale chyba mającej jakiś związek z historią. Oprócz orłów gromadzę ich fotografie i fotografie ludzi w czapkach z orłami, książki i albumy, w których są dawne mundury, dawne orły. Nie mam możliwości posiadania wszystkiego na ten temat, z tej dziedziny, wystarczy mi, że wiem, gdzie mogę znaleźć interesującą mnie wiadomość, fotografię, książkę czy artykuł w czasopiśmie.

Z tych różnorakich elementów: z analizy eksponatów (własnych, oglądanych u kolegów-zbieraczy i w muzeach), fotografii, rycin, z ustnych relacji dawnych wojskowych, z nielicznych niestety opracowań przedmiotu zaczyna mi się powoli zarysowywać mglisty jeszcze i pełen białych plam, pełen niewiadomych, obraz historii orła — znaku polskiego żołnierza. Mówiłem już na ten temat w gronie lubelskich kolegów zarażonych podobnymi zainteresowaniami. Jeździłem i do innych miast, gdzie działają zorganizowane grupy członków naszego Stowarzyszenia, by wymieniać poglądy, dzielić się rezultatami poszukiwań, choć jeszcze szczątkowych i nie zawsze pewnych.

Ta forma zbieractwa daje mi wiele zadowolenia, bo to przecież satysfakcja: nie tylko mieć sto kilkanaście orłów, z których każdy jest inny, ale też wiedzieć o nich to i owo, a nawet jeśli się nie wie, mieć nadzieję na uzupełnienie wiadomości.

Leżą zatem i stoją orły na półkach biblioteczki. Długi ich szereg nie zaczyna się — niestety — wielkimi orłami z lat Księstwa i Królestwa — otwierają go nieliczne egzemplarze „biżuterii patriotycznej", która w drugiej połowie XIX wieku w jakimś sensie zastępowała orła wojskowego: broszki, breloki, wisiorki. Dalej orły wojskowe: polskich organizacji strzeleckich sprzed I wojny światowej, legionowe, Polskiej Siły Zbrojnej Korpusów Wschodnich i hallerowskie. Ileż tu typów i odmian, a przecież posiadam zaledwie drobną część istniejących. Różnią się materiałem i wykonaniem, rysunkiem i kształtem. Są z koronami i bez, na tarczach lub bez tarcz, z emblematami, nawet z portretami, z literami, numerami, z napisami na tarczach.

Z kolei te międzywojenne. Tu — powie ktoś — nie ma właściwie czego zbierać, wystarczy mieć jednego orła, bo przecież wszystkie były jednakowe. Nic podobnego. I ten okres historyczny przyniósł wielość typów i odmian orłów. Tylko na pozór wszystkie są jednakowe: korona, uniesione skrzydła, tarcza amazonek — ale wystarczy się przyjrzeć, porównać je między sobą. Zaraz się widzi: tu inny kształt głowy, tam inny układ skrzydeł, rozłożenie piór, inne uniesienie głowy, rozmaita ilość tzw. gwoździ w tar-

Dokończenie na str. 15

Królestwo Kongresowe

Armia Polska we Francji (1918)

PSZ (1940—1945) (na Zachodzie)

1 D. im. T. Kościuszki

LWP

WITRYNA LUBELSKA W 1975 ROKU

EDYCJE książkowe Wydawnictwa Lubelskiego przyniosą w bieżącym roku wiele nowych tytułów poświęconych Lublinowi i Lubelszczyźnie. Niebawem ukaże się oczekiwany od dłuższego czasu II tom „Dziejów Lublina" oraz praca źródłowa „Lublin w dokumencie". Ponadto zostanie opublikowany przewodnik autorstwa Henryka Gawareckiego i Witolda Gawdzika „Ulicami Lublina".

Miłośnicy historii regionu lubelskiego otrzymają ponadto pracę Jerzego Markiewicza „Partyzancki kraj" (Zamojszczyzna — styczeń — czerwiec 1944 r.), Jana Jachymka „Oblicze społeczno-polityczne wsi lubelskiej 1930—1939,", rozprawę naukową Ryszarda Orłowskiego o Andrzeju Zamoyskim pt. „Między obowiązkiem obywatelskim a interesem własnym". Na szczególną uwagę zasługuje pozycja opracowana przez Ireneusza Cabana i Edwarda Machockiego „Za władzę ludu", stanowiąca cenne źródło wiedzy o ludziach poległych w obronie władzy ludowej na Lubelszczyźnie oraz książki włączone do klubu „Człowiek — Świat — Polityka": Józefa Wnuka „Dzieci polskie oskarżają" i wspomnienia partyzanckie Piotra Brajki pt. „Uwaga, Kowpak!". Dział pamiętnikarski wzbogaci się o nową pozycję Adama Majewskiego pt. „Wojenne opowieści porucznika Szemraja" oraz Stanisławy Gogołowskiej „Z pamiętnika więźniarki Buchenwaldu".

Prof. dr Henryk Zins przygotował interesujące szkice z podróży do Anglii i Kanady pt. „W świecie anglosaskim", a Ireneusz J. Kamiński tom szkiców o plastyce „Sztuka w labiryncie". Opublikowany zostanie także zbiór partyzanckich pieśni „Zaszumiały im lasy".

Kolejne tomy „Rocznika Lubelskiego", „Zeszytów Majdanka", „Lubelskiego Rocznika Pedagogicznego" i „Kalendarza Lubelskiego" na 1976 r. uzupełniają edycje tytułów poświęconych naszemu regionowi.

W dziedzinie literatury pięknej, obok opublikowanego już zbioru opowiadań młodych pisarzy lubelskich pt. „Na widnokręgu", „Wierszy wybranych" Józefa Czechowicza i wznowienia opowieści o Bolesławie Prusie pt. „Trudne życie", powieścią pt. „Spłoszony ptak" debiutuje w prozie Zbigniew Kośmiński. Wznowione zostaną tak poczytne tytuły jak: „Paryż zdradzony czyli Izabela Czartoryska" Jadwigi Dackiewicz, „Fryderyk" (opowieść o młodym Szopenie) Tadeusza Łopalewskiego, „Skrzydlate fatum" Władysława Kisielewskiego oraz wiele pozycji dla młodzieży i czytelników najmłodszych. M.in. ukaże się w dużym nakładzie wznowienie „Władcy Doliny Morskiego Oka" Tytusa Karpowicza i utwory poetyckie dla dzieci Józefa Czechowicza oraz Franciszki Arnsztajnowej. Nową powieść zaprezentuje Janusz Olczak pt. „Znajomi i nieznajomi z ulicy chłodnej", Zofia Kwiecińska tom opowiadań „Weekend" a Witold Kasperski powieść poświęconą wiejskiemu nauczycielowi. Niewątpliwym zainteresowaniem czytelników powinny cieszyć się nowe pozycje przekładowe literatury ukraińskiej: powieść o elementach autobiograficznych Tarasa Szewczenki pt. „Artysta" oraz powieść współczesna znanego pisarza ukraińskiego, laureata Nagrody Leninowskiej Olesia Honczara pt. „Cyklon" w tłumaczeniu Marii Dolińskiej. Ukaże się także interesujący tom szkiców o pisarzach Moniki Warneńskiej pt. „Wczasy literackie".

W ramach Lubelskiej Biblioteki Poetyckiej zadebiutują: Krystyna Makula-Trochimiuk tomikiem „Gorący uczynek" i Janusz Kornacki zbiorkiem utworów pt. „Szukam człowieka". Natomiast w Lubelskiej Bibliotece Ludowej ukaże się nowy tomik utworów Bronisława Pietraka pt. „Chryzantemy".

RD

OLCZAK

OTO debiut pierwszy: tom opowiadań pt. „Białe kołnierzyki", uhonorowany swego czasu drugą nagrodą w konkursie Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Książka, ambitnie pomyślana i zrealizowana z wyjątkowo dojrzałą sprawnością warsztatową, wzbogaciła ten nurt współczesnej literatury polskiej, który związany jest z tematem wiejskim.

W sposób świeży i niebanalny, daleki od ilustratorstwa, młody autor ukazał ludzi, których życie i trud pracy dotyczy właśnie wsi. Galeria postaci: nauczyciele, melioranci, rolnicy. Ale — żeby użyć określenia bardziej precyzyjnego — większość tych ludzi pochodzi właśnie z pogranicza miasta i wsi, przebywają jakby sezonowo w środowiskach wiejskich, wykonując na ich potrzeby określone prace i stąd traktowani są przez tubylców jako swoi, ale zarazem i jako obcy. Stwarza to znakomitą możliwość ostrego widzenia i ukazania całego splotu wydarzeń, środowiskowych konfliktów, sytuacji przystosowania i alienacji. I dobrze widoczne jest tło owych wydarzeń.

Janusz Olczak umiejętnie wykorzystuje te atuty, ale również potrafi korzystać ze swojej wcale już bogatej biografii, nie szczędząc barwności opisu, fascynujących i sugestywnym piórem kreślonych bogato postaci, lub — odsłaniając mechanizmy społeczno-obyczajowe i psychologiczne rodzących się konfliktów, powstających nowych układów społecznych. Autor jest dobrym obserwatorem, skrzętnym kronikarzem obyczajowości wiejskiego pogranicza, powołując do życia narratora, poprzez niego wypowiada się o świecie, obnaża ludzkie słabości, odsłania motywy poszczególnych decyzji i postępowań, ale nigdy — starając się być w miarę obiektywny — nie feruje ocen i wyroków, nie skłania się do występowania w roli sędziego, ani kata. Nie w tej prozie z moralistycznych aspiracji, nic z tendencji do kreowania świata według schematów, skazanego jednoznacznie na potępienie czy uwznioślenie.

Olczak pisze przy tym dość żywiołowo, rejestrując bez specjalnej selekcji nastroje swoich bohaterów, ich odruchy i przemyślane czyny, ale w końcu ten spontaniczny autentyzm owocuje ładnym, oszczędnym pejzażem, malowniczym obrazem rodzajowym, klarownymi i przekonywającymi sylwetkami wielu głównych bohaterów. I choć narrator działa czasem jawnie, czasem w ukryciu — to w pamięci pozostają przede wszystkim owi mieszkańcy wsi, gospodarze i pracownicy PGR, melioranci i nauczyciele, reprezentanci zdeklasowanych dziedziców, dziś będący badylarzami.

Liczy się w tej metodzie widzenia świata nie irytująca powaga i nieznośny patos, lecz — jak mówi sam autor w wywiadzie: „Ważną rzeczą jest dla mnie humor, oznacza on dobroć, optymizm, sens istnienia, a jednocześnie jest wyrazicielem pewnego dystansu wobec opisanych zdarzeń. Humor jest więc dla mnie ważnym nośnikiem zarówno treści jak i formy dzieła". To wyznanie młodego pisarza znajduje swoją realizację w czterech zawartych w tomi opowiadaniach. Z tym wszakże zastrzeżeniem, że nie jest to zawsze realizacja w pełni udana. Jeśli bowiem tytułowe „Białe kołnierzyki" czy „Melioracja, czyli baśń o ulepszeniu" — to opowiadania skażone w swym kształcie artystycznym nieraz nadmiernymi dłużyznami, a „Krąg zbrodni" z kolei wyłamuje się z całości zbioru zgoła inną techniką narracji i jest bez wątpienia najsłabszy artystycznie, to podobne zarzuty można odnieść też do „Białych mankietów". Niemniej jednak wszystkie utwory, poza „Kręgiem zbrodni", tworzą jakąś wspólną tonację, i w problemach są zbliżone, i we wspólnym widzeniu świata.

Nie oznacza to bynajmniej, iż Olczak opanował w sposób doskonały technikę skrótu, zasady kompozycji, że jednakowo pogłębione obrazy rzeczywistości kreuje swoim piórem. Widoczne jest bowiem zanadto ciążenie biografii, nadmierne jej eksploatowanie, pewien niedostatek selekcji materiału, wyciskający swoje piętno na kształcie artystycznym. Przy tym autor unika na ogół dialogów, a te które występują, najczęściej brzmią nieco chropawo, jakby sztucznie, obciążają wartki tok narracji.

No, ale są to przecież w istocie typowe grzechy debiutantów, i w ogólnym rozrachunku liczy się końcowy efekt artystyczny, a jest on niemały, dowodzący iż start literacki Olczaka okazał się w dużym stopniu startem udanym.

I oto debiut drugi: powieść pt. „Baśń o Wielkim Marandzie". Stała się ona zaskoczeniem dla czytelników i dla krytyków. Oto bowiem otrzymaliśmy utwór zbudowany w

zgoła innej stylistyce, przy pomocy innej konwencji artystycznej, bardziej wyrafinowanej przy tym. Ten sam pozostał bez wątpienia realizm opisu, ta sama pozostała świeżość i odkrywczość świata, doszły natomiast elementy baśniowości, znalazła swoje miejsce wyrazista metafora, często napotykamy przypowieści i umoralniające sentencje. Wyraźny akcent pada właśnie na to, co określamy jako tendencje moralitetowe.

Zatem: Olczak odszedł od konkretu opisu, porzucił detale wydarzeń i szczegóły przypisane każdemu z bohaterów, pokusił się o bardziej pogłębione spojrzenie na rzeczywistość, o pełniejsze przy tym rozświetlenie jej mroków i zagadek, o bardziej całościowe, żeby nie rzec: uniwersalne, odsłonięcie psychiki ludzkiej. Porzucił teren penetrowany przez socjologów, zanurzył się w gęstej materii, będącej przedmiotem badań i dociekań psychologów i moralistów.

W tej aurze, konkretnej jednak i mocno wspartej o realność rodzi się coś na kształt współczesnej baśni o losach ludzi nam współczesnych, coś jakby odrealnionego, baśniowego, będącego wytworem nieskażonej niczym imaginacji.

Sam Maranda, postać dość mgliście zarysowana w książce, ale przecież obecna stale w siedemnastu rozdziałach powieści, to jakby współczesny Don Kichote, nosiciel pewnej nierzeczywistej idei, myśli nie do spełnienia w tym najlepszym ze światów. Był ów Wielki Maranda optymistą, samotnikiem, romantykiem, pragnął aby powołany w szkolnych latach w pewnym miasteczku klub został reaktywowany w dojrzałym wieku całej ówczesnej kompanii, po dobrych kilkunastu latach.

I wokół Marandy odbywa się jakoby chocholi taniec realnych wszakże ludzi na ostro podpatrzonej rzeczywistej scenie życia. Lump i pijak Azbest, wykolejeniec życiowy Brandenbura, obrotny w interesach Doktor, altruiści Mecenas i Proboszcz — cały korowód postaci, żyjących według twardych reguł życia, respektujący jego prawa lub — w przeciwnym razie — dostający mocno w kość. A tuż obok nich, z nimi — ten Maranda, o proweniencji rycerza z La Manchy, lub może figura z dawnej powieści łotrzykowskiej, do której zresztą autor żywi specjalną estymę. Lub — może wreszcie jako propozycja dla współczesnych, propozycja ucieczki do regionów bytowania, uwolnionych od codziennych i męczących kłopotów, w krainę oczyszczającą wewnętrznie, swoiste katharsis zaaplikowane nam wszystkim...

I jest też tej książki wysoki rodowód przypowiastek moralnych Woltera i Diderota, podobnie brzmiący ton humoru, którym chłosta się jednak śmiesznostki i przywary swoich bliźnich. Nie zaniedbując morałów, pouczających przypowieści, sentencji i aforyzmów, choćby były one już lekko zwietrzałe. A wszystko to — dla zbawienia naszej ludzkiej i laickiej duszy.

Ambitnie pomyślana powieść Olczaka, mocno i soczyście wymoszczona realnością i baśniowością, gęsta od problemów niepokojąco wieloznacznych, tłoczna od plejady bohaterów, jest jednak tylko częściowym zwycięstwem autora. Zamysł okazał się cięższy od możliwości jego realizacji. Oto bowiem, przy wnikliwym rozbiorze formalnym, wyłaniają się niedostatki, pęka w szwach kompozycja, całość okazuje się wewnętrznie niespójna. Obraz jest jakby zamglony. Szczególnych zastrzeżeń przysparza rozdział drugi, w którym autor opisuje młodzieńczą działalność członków klubu. Choć jest to rozdział utrzymany w tonacji groteskowej, nie ustrzegł się tu autor rozwlekłości, przegadania, miejscami zaś — powierzchowności opisu, zaledwie szkicowania sytuacji.

Napisałem wyżej o tej powieści, iż jest tylko częściowym zwycięstwem autora. Czy jednak to mało? Czyż nie wyróżnia się ten utwór korzystnie w sposób aż nazbyt widoczny na tle całej bieżącej produkcji wydawniczej?

Sądzę, że wyróżnia go m.in. odcięcie od „małego realizmu", niebanalna koncepcja, mądra przenikliwość, wydoskonalony słuch literacki autora. I cenna jest odwaga, z jaką przystąpił Olczak do mówienia o naszej współczesności w formie żartobliwych opowiastek, które w istocie wymierzają pełną sprawiedliwość nam, mieszkańcom kraju nad Wisłą i Odrą.

Bo przy wszystkich swoich powiązaniach z tradycją, jest to powieść bardzo polska, i bardzo współczesna.

Zenon Łukaszewicz

Janusz Olczak: Białe kołnierzyki. Opowiadania LSW 1973 r., str. 234. Baśń o Wielkim Marandzie. Powieść. Wyd. Lub. Lublin 1974. str. 281.

POD PARAGRAFEM

Księżycówka i dubeltówka

DZIAŁALNOŚCIĄ bimbrowniczą zajmuje się na ogół lud wiejski, przede wszystkim w miejscowościach położonych gdzieś na uboczu albo pośród lasów (chociaż znany jest przypadek pędzenia bimbru przez pewnego obywatela w samym centrum Lublina nad apteką!). Lasy stwarzają sytuację najdogodniejszą, nie tylko zresztą dla bimbrownictwa. Dla kłusownictwa również, i od tego się w poniższym przypadku zaczęło.

Komenda powiatowa już od dawna miała oko na kilku obywateli „terenowych" i od dawna miała cynki i oficjalne doniesienia. Jak zwykle, zawistny sąsiad sąsiada kapował. Straż leśna i myśliwi składali ustne zameldowania. Ktoś się czaił nocą na łowiskach, jakieś cienie wymieniające strzały z leśnikami, jakieś ucieczki i pogonie, skóra dzika porzucona na polu pod lasem, zastrzelony zajączek, łożysko strzelby ciśnięte w miedzę, lufa wbita w kartoflisko, czapka, którą ktoś zgubił...

Domysły niejasne, poszlaki mizerne. Teren jednak był bardzo „gorący", a powiat zalesiony. Ludzie tutaj zdawali posiadane nielegalnie strzelby i wkrótce znowu ich łapano z nową bronią. Podejrzenia objęły kilka osób, między innymi Mieczysława Z. i jego sąsiada. Ktoś jakby widział dwie podobne do sąsiadów sylwetki późnym wieczorem pod lasem, wtedy właśnie, kiedy ta skóra dzika, ten zajączek i ta czapka...

Przeszukanie zrobiono wpierw u sąsiada Mieczysława Z. Milicjantów zainteresowały jakieś kości porzucone w komórce. Gospodarz wyjaśnił, że to pewnie resztki prosiaka, którego był zatłukł na weselisko swojej córy pierworodnej, huczne i w ogóle jak się należy. W wykazie zabezpieczonych dowodów rzeczowych wymienia się zatem dwa kilogramy kości z resztkami mięsa oraz dwa włosy koloru ciemnego. Ekspertyza biegłego rzeczoznawcy stwierdziła, że kości mogą być dzika tylko, a włosy to również szczeć odyńca.

Sytuacja stała się jasna całkowicie. Tym bardziej że termin weselisko mniej więcej wypadał na kilka dni po znalezieniu skóry dzika. Widać wesela wiejskie nie tylko samogonem zatrącają, czasem i tanią zagrychą w nieumyślnie wykwintnym stylu staropolskim.

Dokonano przeto rewizji także w pomieszczeniach gospodarskich samego Mieczysława Z. „Czy posiadacie nielegalnie broń lub amunicję" — pyta władza po raz pierwszy, aczkolwiek właściwie po raz drugi, gdyż pół roku przedtem zakwestionowano u Mieczysława Z. 122 sztuki amunicji karabinowej, 26 sztuk amunicji pistoletowej i 7 nabojów do strzelby (wyłgał się wtedy). „Nie posiadam" — odpowiada zapytany obywatel. I wtedy funkcjonariusze zaczęli szukać.

Mieczysław Z. przypomniał sobie nagle, że ma amunicję i dobrowolnie ją wydał milicjantom — 270 sztuk nabojów karabinowych. Twierdził, że wyorał ten arsenał na swoim polu podczas sadzenia kartofli i czekał, aż milicja sama się zjawi, żeby „rzecz" odebrać. Że wyorał, ma świadków w liczbie dwu starców i jednego dziecka, którzy przed sądem potwierdzili tę wersję. Ale dobrowolnie przekazać władzy, sam z siebie, zaraz po odnalezieniu, nie przekazał i przetrzymywał — więc winien i zostanie skazany.

Może liczył, że wpadka na tym się skończy, lecz milicja szukała nadal. Raczej strzelby szukała — znalazła pod pryzmą kartofli w piwnicy... 30-litrową bańkę z klasycznym zacierem. Początkowo mówił, że nie warto się bańką interesować, bo tam benzyna. A kiedy powąchano i zajrzano mówił, że to zacier na wino domowej roboty (stara śpiewka bimbrowników). Przed sądem wersję o winie podtrzymywał konsekwentnie, tyle że biegły miał zupełnie odmienne zdanie i to zadecydowało.

Mieczysław Z. otrzymał za oba przewinienia karę łączną — rok pozbawienia wolności. Za bimbrownictwo zaś ponadto 12 tys. zł grzywny. Sąd zarządził, żeby nazwisko skazanego zostało umieszczone na tablicy ogłoszeń w urzędzie gminnym — bardzo mi się wydaje skuteczny ten rodzaj kary. W instancji rewizyjnej kara pozbawienia wolności została Mieczysławowi Z. zawieszona na 3 lata.

Jak widać — bimbrownictwo i kłusownictwo lubią chadzać w parze, a niektórzy obywatele wiejscy skłonni są traktować zaspokajanie swych potrzeb bytowych jako rodzaj gospodarki samowystarczalnej. Jeżeli alkohol „legalny" jest czynnikiem kryminogennym, to bimber jest czynnikiem kryminogennym w dwójnasób. Smutne tylko, że za pędzenie samogonu biorą się niekiedy rolnicy o nienagannej skądinąd opinii. Nie opłaca się to nigdy, sąd ma możliwość wymierzenia praktycznie każdej grzywny.

pom

Sennik egipski

- 35 -

Siano zbierać — żałoba, troski
Sianokosy — wypoczynek
Siarka — gniew, złość
Sidła zakładać — knujesz zdradę
Sidła, zawikłać się w nie — zło obróci się przeciwko tobie
Sieczka — niehonorowe zarobki
Sieć — pomyślność w interesach
Sieć zarzucać — masz złe zamiary
Sieć podarta — niepowodzenie
Sieć wiązać — radość w rodzinie
Siekiera — ciężkie życie
Siennik — niebardzo pomyślne wieści
Sito — lekkomyślna rozrzutność
Sito kupować — niezgoda w domu
Sierotą być — utrata czegoś co było ci bardzo drogie
Sierotę przygarnąć — spotka cię jakieś szczęście
Sierp — czeka cię znojna praca
Sierpem żąć — gniew
Sierżant — będą nieprzyjemności
Siewnik — wzrost majątku
Sikawka — zajścia uliczne
Siniak — nieetyczny czyn
Siodło, siedzieć w nim — stała pozycja majątkowa
Siodło, być wyrzuconym — zmartwienie w rodzinie
Siostra — dobre nowiny
Sitowie — nieprzyjemne powikłania
Siwy koń — pomyślna wróżba
Skakać — szczęśliwa gra
Skały widzieć — piętrzące się trudności
Skała, spaść z niej — nieszczęście
Skaleczyć się — brak silnej woli
Skarb — spotka cię wielkie zadowolenie
Skarby wykopać — spotka cię zawód
Skarbiec — nieprzyzwoita chciwość
Skarbonka — przez oszczędność dojdziesz do celu
Skarga — smutek, lub gniew bez przyczyny
Skarpetki — podróż, lub wycieczka
Skarpetki podarte — przygody
Skaut — mężnie zniesiesz trudy
Skazaniec — kłopoty, przygnębienie
Składać druk — żmudna praca z dobrym wynikiem
Skóra, własna gładka — miłosne upojenie
Skóra pomarszczona — zmartwienie
Skóra zwierząt — zdrada przyjaciół
Skóra na buciki — zmiana w życiu
Skóra na podeszwy — podróż w nieznane

Dalszy ciąg nastąpi

PAMIĘTNIK GLOBTROTERA (8)

NIE ujechaliśmy jednak zbyt daleko. Moja „opiekunka" raptownie skierowała samochód na prerię pomiędzy las kaktusów i karłowatych krzewów. Kiedy już byliśmy za murem tej roślinności, zatrzymała samochód, a z małej skrytki wyciągnęła płaską butelkę brandy.

Wypiliśmy po sporym kielichu, w głowie mi już dość dobrze szumiało, lecz byłem w jakiś dziwny sposób skrępowany wobec tej kobiety. Może dlatego, że była o wiele starsza ode mnie? Ona widząc moją nieśmiałość, złapała mnie za rękę mówiąc: „Pewnego razu miałam wypadek i skaleczyłam się w nieodpowiednim miejscu, o tutaj!" I moją rękę pociągnęła pod kolano...

Po igraszkach wypiliśmy jeszcze po jednym kielichu i ruszyliśmy do Cold Spring. Tutaj sędzia przygotował dobrą kolację, potem jeszcze chwilę pogawędziliśmy i udaliśmy się spać.

W niedzielę, tak jak postanowiono, moja opiekunka zawiozła mnie do kościoła, a sama udała się w drogę powrotną do domu. Po mszy zostałem otoczony przez grupę Polaków, z którymi poszedłem do Domu Polskiego. Miał on piękną dużą salę, obficie zaopatrzony bufet.

Kiedy już wszyscy zebrali się na sali, prezes zagaił i przyprowadził mnie do mikrofonu prosząc, ażebym opowiedział w języku polskim o swoich podróżach.

Początkowo miałem tremę, nieco się jąkałem, lecz jak się rozkręciłem to bez żadnych przerw jechałem już do końca swego opowiadania. Po zakończeniu prezes wziął swój kapelusz i tak jak ksiądz w kościele z tacą zaczął zbierać dla mnie pieniądze. Po tej całej ceremonii wypiłem przy bufecie jeszcze kilka głębszych, a następnie udałem się z prezesem do domu, gdzie spożyłem obiad. Wieczorem przyjechała żona sędziego, a ja pożegnałem się ze wszystkimi dziękując za gościnę i pomoc.

Moja opiekunka, tak jak poprzednio, zboczyła z drogi. Tym razem już śmielej zabrałem się do dzieła. Na uboczu zabawiliśmy kilka godzin i pędziliśmy dalej. Koło domu czule pożegnałem się ze swoją panią, która odjeżdżając powiedziała mi: „Będę przyjeżdżała po ciebie w każdy piątek".

Jeszcze nie zdążyłem wejść w drzwi swego mieszkania, gdy usłyszałem znajomy głos koleżki, z którym pracowałem razem w jednym sklepie: „Janek! Jedźmy potańczyć!" „Nie, nie pojadę, jestem cholernie zmęczony". Kolega spojrzał na mnie i uśmiechając się zapytał: Czy ona dała ci...? Odpowiedziałem przecząco, lecz on nie uwierzył i kiedy odchodził, dodał: Musisz uważać, bo ten sędzia już jednego, takiego jak ty, zastrzelił. On jest o swoją żonę bardzo zazdrosny".

Słowa kolegi podziałały na mnie piorunująco. Nie zastanawiając się co nastąpi dalej, spakowałem tylko część najlepszych swoich rzeczy w jedną walizkę, przeliczyłem pieniądze: miałem 863 dolary i kilka funtów. To była spora suma pieniędzy i było z czym ruszać w drogę.

O północy złapałem dalekobieżny autobus. Przez cztery dni podróżowałem do Chicago. Po drodze zatrzymywałem się w większych miastach, wałęsając się bez celu po ulicach, lub racząc się wódką w zakątku jakiejś restauracji.

Byłem tym wszystkim przygnębiony i nieraz rwałem się do powrotu, lecz wstrzymywał mnie strach przed sędzią i słowa kolegi: „Musisz uważać, bo ten sędzia już jednego, takiego jak ty, zastrzelił".

Był ranek, kiedy dojechałem do Chicago. Na postoju przy stacji autobusowej podszedłem do taksówki i zapytałem kierowcę, gdzie mógłbym się tutaj zabawić. Ten podwiózł mnie do dzielnicy murzyńskiej pod restaurację mówiąc: „Tu znajdziesz wszystko, czego zapragniesz".

Nie zdążyłem jeszcze wejść w drzwi restauracji, gdy zostałem zaczepiony przez młodą, wysmukłą Murzynkę. „Cześć kochanie! Rozglądasz się za przyjemną chwilą?".

„Tak" — odparłem i już za chwilę po stromych schodach Murzynka zaprowadziła mnie do pokoju, w którym kazała czekać chwilę. Gdy wróciła, powiedziała: „Będzie to cię kosztować 10 dolarów".

Po raz pierwszy w życiu miałem tego rodzaju styczność z Murzynką...

Na ulicy złapałem taksówkę każąc się zawieźć do jakiejś polskiej restauracji.

Byłem cholernie głodny i nie mogłem doczekać się prawdziwych polskich pierogów, które na moje żądanie przygotowała żona właściciela tej restauracji, z którym prowadziłem dyskusję przy małym drinku.

W Chicago wiodło mi się nieźle. Tutaj też ludzie polskiego pochodzenia pomagali mi, a prezes Polonii radził mi wrócić do Cleveland.

Po dwóch tygodniach, jakie spędziłem w Chicago, wracałem strwożony do Cleveland. Była pora przedpołudniowa, kiedy wysiadłem. Początkowo nie wiedziałem, co począć. Nagle spostrzegłem szeryfa, który zaparkował swój samochód po przeciwnej stronie ulicy, kiwając ażebym podszedł do niego. Kiedy już byłem w samochodzie, szeryf zganił mnie za mój występek i powiedział, że musi mnie odwieźć do portu Houston, do biura emigracyjnego. W tym czasie podwiózł mnie do mego mieszkania, gdzie spakowałem wszystkie swoje rzeczy, a następnie ruszyliśmy do Houston, które leżało 50 mil od Cleveland.

W biurze emigracyjnym w porcie w czasie krótkiego przesłuchania, przy którym był obecny szeryf z Cleveland, opowiedziałem, z jakiego powodu opuściłem Cleveland i pod czyją namową wróciłem z powrotem.

Szeryf coś długo rozmawiał z oficerem emigracyjnym, a kiedy już odchodził, uścisnął mnie i powiedział: „Chciałem cię zabrać z powrotem, ale to już niemożliwe, dopiero po roku czasu będziesz mógł powrócić do nas". Kiedy szeryf odjechał, oficer emigracyjny zwrócił się do mnie z następującym pytaniem: „Czy chcesz czekać w więzieniu na statek twego armatora, czy też zakotwiczysz zaraz na włoski statek pod banderą panamską, który odpływa dziś w nocy?"

Wybrałem to drugie.

Po załatwieniu krótkich formalności związanych z przyjęciem na włoski statek, razem z bagażem odtransportowano mnie do miejsca, gdzie stał zakotwiczony S/s „Providencia Pa". Był to duży statek, osiemnastotysięcznik.

Na statku w większości znajdowali się Włosi, było też kilku Murzynów i teraz ja, jeden jedyny Polak. Zostałem zatrudniony w charakterze pomocy kucharza. Statek był bardzo brudny, a załoga również wyglądała nie lepiej. Spaliśmy wszyscy razem w jednej dużej kabinie, lecz po kilku dniach umieszczono mnie w kabinie na górnym pokładzie razem z zastępcą kucharza.

Pewnego popołudnia, a był to już maj 1949 r., zakotwiczyliśmy w porcie Messina. Była to raczej przystań, bo nigdzie nie było żadnego ogrodzenia, a ze statku schodziło się prosto na ulicę.

Stałem na pokładzie i przyglądałem się stojącym dorożkom, na których siedziały piękne Włoszki. Jedną taką, siedzącą w dorożce, upatrzyłem sobie i dałem jej znać, że zaraz schodzę. Pomału spakowałem wszystkie swoje rzeczy, które kazałem zanieść chłopakowi na wolną dorożkę, a sam, nie żegnając się z nikim, zbiegłem na dół i odjechałem z przygodną Włoszką.

Dalszy ciąg nastąpi

kultura 1975

FILM

● **Autorem scenariusza** i komentarza filmu radzieckiego „Szedł żołnierz" jest pisarz i korespondent wojenny Konstantin Simonow. Zapytany, skąd się wziął tytuł, odpowiedział: „Bo on rzeczywiście szedł i doszedł". Część filmu dzieje się na ziemiach polskich, m. in. w okolicach Wrocławia. Zebrany przez twórców materiał wystarczy jeszcze na nakręcenie sześciu odcinków telewizyjnych.

● Tegoroczny, XXVIII już festiwal w Cannes właśnie się rozpoczął i potrwa do 23 maja. W konkursie oficjalnym zostanie wyświetlonych 29 filmów, ale razem z różnymi pokazami aż 300. Z racji Międzynarodowego Roku Kobiet przewodnicząca jury jest Jeanne Moreau, a wśród aktorów włoska aktorka Lea Massari i realizatorka radziecka Julia Sołncewa, wdowa po Al. Dowżence Jedni uważają, że „gwoździem" programu będzie adaptacja opery Mozarta „Zaczarowany flet" dokonana przez Ingmara Bergmana, inni zaś, że — Festiwal Filmów Erotycznych, zorganizowany właśnie z okazji MRK.

● Trzy centralne kina w Sofii wyświetlają pierwszą część „Potopu" Frekwencja jest rekordowa. W mniejszych kinach krąży od roku „W oustyni i w puszczy", wyświetlany pod tytułem „Staś i Nel". Telewizja bułgarska zaś nadała polsko-francuski serial „Wielka miłość Balzaca".

LITERATURA

● Z okazji majowych Dni Oświaty, Książki i Prasy prof. J. Jakubowski tak sobie pomarzył — jak sam wyznaje — w „Życiu Warszawy" (nr 101): „Oto nasi operatywni wydawcy (chwale ich na wyrost) pozostają w kontakcie z telewizją i twórcami filmów. Wiedzą, że niebawem będzie realizowany serial czy film oparty na arcydziele literatury polskiej czy obcej. A wy, o operatywni, szybko wydajecie książkę w tanim masowym nakładzie. I oto widzę oczyma wyobraźni, że przed kinem, w poczekalni, leżą stosy książek. I wierzę, że niejeden widz filmowy unosi książkę do domu, aby pogłębić, przedłużyć swoje obcowanie z dziełem, które inspirowało twórcę filmu".

● W tym miesiącu na półkach księgarskich wszystkich krajów socjalistycznych ukażą się pierwsze tomy międzynarodowej serii wydawniczej — „Biblioteki Zwycięstwa". Cykl ten, ukazujący narodziny solidarności i braterstwa broni w okresie wojny i zwycięstwa, obejmuje w tej chwili 35 tytułów, ale ich liczba może być jeszcze zwiększona. Edytorem u nas jest „Czytelnik", który w tym roku opublikuje siedem tytułów: „Popiół i diament" J. Andrzejewskiego, „Nadzy wśród wilków" B. Apitza, „Pokolenie" B. Czeszki, „Tytoń" D. Dimowa, „Reportaż spod szubienicy" J. Fucznika, „Opowieść o prawdziwym człowieku" B. Polewoja i „Czterdziesty czwarty" Z. Załuskiego.

● Oddział szczecińskiego ZLP nie jest zbyt liczny, a jednak tamtejsi pisarze opublikowali po wojnie ponad 150 książek, które wydano w nakładzie prawie 2 mln egzemplarzy. Większość autorów podejmuje tematykę morską. Czesław Schabowski sam przez wiele lat trudnił się rybołówstwem i najczęściej pisze o rybakach z Zalewu Szczecińskiego. Wiesław Andrzejewski był marynarzem i osobiście poznał wszystkie porty świata, stąd też pisze o problemach ludzi, pływających na dalekich szlakach żeglugowych.

PERSONALIA

● Zakończyły się wybory w oddziałach Związku Literatów Polskich. Prezesami zostali: Bydgoszcz — Jan Górec-Rosiński, Gdańsk — Stanisław Hebanowski, Katowice — Wilhelm Szewczyk, Kraków — Stefan Otwinowski, Lublin — Henryk Pająk, Łódź — Jerzy Wawrząk, Poznań — Czesław Chruszczewski, Szczecin — Ryszard Liskowacki, Warszawa — Lesław Bartelski, Wrocław — Urszula Kozioł Prezesem Zarządu Głównego jest Jarosław Iwaszkiewicz.

● W konkursie „Czytelnika" na debiut powieściowy pierwszą nagrodę zdobył Jan Komolka z Poznania za powieść pt. „Ucieczka do nieba". Wśród wyróżnień honorowych jest „Homo sapiens" Ireny Koziejowskiej z Lublina.

RECENZJE

● „Podziwem napełniało oczywiście bezbłędne opanowanie rzemiosła, równie znakomitego w corps de ballet jak u niespotykanie licznych — co też warto podkreślić — solistów. Nie w dyscyplinie i w swobodzie zarazem klasycznych pas kryje się jednak źródło sukcesu radzieckich gości, lecz w sile indywidualnych talentów, które ożywiają zastygłe konwencje, nadają ciepło i blask olśniewającym popisom technicznym" (T. Grabowska w „Trybunie Ludu" nr 100 o występach Leningradzkiego Akademickiego Teatru Opery i Baletu im. Kirowa).

● „Twórcy wchodzącego właśnie na nasze ekrany filmu „Drogi do ojczyzny" mieli niełatwe zadanie. Ich całkowicie słusznym założeniem było odejście od konwencji opartej na samym tylko montażu powszechnie znanych kadrów. Znany dokumentalista Wincenty Ronisz i autor scenariusza płk. Zbigniew Załuski postanowili skonfrontować historię ze współczesnością, rzeczywistość topograficzną sprzed z góry trzydziestu lat z tymi samymi miejscami dzisiaj" (Cezary Prasek, „Literatura" nr 18).

● „To są, uczciwszy uszy, dewocyjne elukubracje. Naród polski nie był w okresie międzywojennym narodem szczególnie świętobliwym, ale postawą w obliczu zagrożenia potrafił udowodnić swoją godność, a wychowane w dwudziestoleciu pokolenie zdało bardzo ciężki egzamin również moralny w latach wojny i okupacji (..) Jestem przekonany, że usunięcie tego fragmentu lub przynajmniej zaopatrzenie go w stosowny komentarz autora wyjdzie na dobre zarówno dziełu, jak i owym pobożnym niewiastom, którym osobiście drogi na ołtarze nie wróżę" (Witold Olszewski w „Kierunkach" nr 18 o książce Jana Dobraczyńskiego „A zebrany stał się jedno").

ROCZNICA

● Nie brakuje nam teraz różnego rodzaju rocznic i jubileuszy. Szczególne miejsce wśród nich zajmuje 20 rocznica ukazania się pierwszego numeru miesięcznika społeczno-kulturalnego „Warmia i Mazury". Miejsce szczególne — bo pismo powstało na terenie, który przez setki lat poddawany był systematycznej germanizacji, a potem na wojennych zgliszczach nie bez trudu budował nową, polską i socjalistyczną rzeczywistość. Dzięki pismu powstało i rozwijało się coraz silniejsze środowisko humanistyczne, na jego łamach debiutowali i publikowali twórcy, z których wielu liczy się dziś w skali kraju. „Warmia i Mazury" były zarazem organizatorem wielu działań kulturalnych, początkowo spełniających rolę integracyjną całego społeczeństwa tych ziem dziś aktywizujących nie tylko Olsztyn i jego województwo. Kolegom i Koleżankom z „Warmii i Mazur" najlepsze życzenia i serdeczne gratulacje!

ŚPIEW

● Karel Gott swoją życiową karierę zaczął jako — kontroler urządzeń elektrycznych, był bowiem absolwentem technikum elektrycznego. Potem śpiewał jako amator, wreszcie ukończył wokalistykę w konserwatorium. Jeden z profesorów po dyplomie powiedział mu: „Rzuć tę całą operę i weź się lepiej za piosenkarstwo, z twoim temperamentem uschniesz w operze". Posłuchał. Na początku było i tak — w Holandii — że cała publiczność to była zakochana para, szukająca półmroku gdzieś w kącie sali. Gott wyznał ostatnio, że marzy o zagraniu w filmie — Tarzana. Takiego zmodyfikowanego, unowocześnionego w musicalu, ale zawsze Tarzana.

● W mediolańskim „Teatro lirico", jednej ze scen La Scali, wystawiono operę „Pod gorącym słońcem miłości". Reżyserował Jurij Lubinow z moskiewskiego „Teatru na Tagance", muzykę skomponował Luigi Nono, libretto napisali Lubinow i Nono. Opera będzie wkrótce pokazana w Londynie.

TEATR

● W czasie tzw. Światowego Sezonu Teatralnego w Londynie Konrad Swinarski z Krakowa pokazał swoje „Dziady". Z tej okazji miesięcznik teatralny „Plays and Players" zamieścił obszerną recenzję, w której m. in. czytamy: „Jego inscenizacje znane są z tego, że na scenie odgrywane są z rozmachem historyczne widowiska i wojskowe parady, ciągną straszliwe procesje kalek, żebraków, oszustów, szaleńców. Dobiera do tego dekoracje łączące elementy zdecydowanego naturalizmu z barokowym przepychem, traktując oprawę plastyczną przedstawienia jako uzupełnienie, wyjaśnienie tekstu. Do tekstu podchodzi z rzadko dziś spotykanym szacunkiem. Nie sądzi, by jakikolwiek reżyser był mądrzejszy niż 2000 lat licząca literatura".

● Paryski „Le theatre du Soleil" (Teatr Słońca) to jeden z najciekawszych teatrów Francji. Przez półtora roku groziło mu rozwiązanie z powodu braku środków finansowych. Ostatnio dziury w budżecie jakoś załatano i zespół wystawił spektakl „Złoty wiek" — pesymistyczny obraz skorumpowanego społeczeństwa zachodniego, opartego na wyzysku. Rzecz zaczyna się w roku 1720 w Neapolu, a kończy we współczesnej Marsylii.

WYZNANIA

● Na pytanie, czy lubi patos, Eugeniusz Jewtuszenko odpowiedział w wywiadzie dla „Kultury" (nr 18): „Używam go przecież. Ale jest potrzebny. Poezja powinna oddawać pełną skalę ludzkiego głosu — krzyk, podniosły ton, szept, ciszę. A patos należy się rzeczom i sprawom patetycznym. Bohaterstwu, odwadze, tragedii, walce, ideałom, dla których i za które warto żyć. Kiedy oglądam stare filmy o rewolucji, o bolszewikach — płaczę. Kiedy czytam Majakowskiego doznaję dreszczy. Na „Czapajewie" byłem niedawno z moim siedmioletnim synem, i właśnie płakałem. Kiedy deklamuję na wiecu poetyckim wiersze — też jestem patetyczny. Skoro jest honor, godność, wiara, krzywda i walka, skoro te patetyczne sprawy są w naszym życiu, trzeba o nich mówić tak, jak na to zasługują".

● „Pisarz zawodowy to właśnie ten bardzo potrzebny i poszukiwany przez wydawców autor, który zrozumiał, na czym polega mechanizm obiegu kulturalnego w naszych czasach i umiał się do tego mechanizmu dostosować. Który wychodzi naprzeciw Twoim potrzebom i oczekiwaniom, potrafi być zajmujący i efektowny, daje Ci maksimum przyjemności, bo Cię wprowadza w sprawy, „o których się mówi". Nie nudzi Cię i nie męczy anachronicznymi wymaganiami ani pytaniami, o których chcemy zapomnieć. Olśniewa Cię i uznać pozwala po Twoim zapracowanym zgiełkliwym dniu. Z jego to książka zasypiasz co wieczór, pogodzony z Twoim otoczeniem i epoką" (Włodzimierz Maciąg w „Życiu Literackim" nr 18).

● Wojciech Żukrowski w „Tygodniku Kulturalnym" (nr 18): „Nasi mecenasi mówią: piszcie śmiało, pora na powieść współczesną, polityczną, piszcie o tym, co wiecie. Ba! Ale z tym są kłopoty. Bo jednocześnie wymaga się od pisarza sądów wyważonych, ocen całościowych, podsumowań współczesności i obrazów nie odbiegających w szczegółach od bieżących ocen. A przecież historia musi się uładzić, „jak figa ucukrować, jak tytuń uleżeć". Ugładzanie rzeczywistości, przystrzyganie jej koliduje z właściwą literaturze — konfliktowością, często — brutalnością obrazów. A przecież tylko taka nieugładzana literatura się liczy.

LUBLINIANA

● Siedmioosobowe jury konkursu na „Pamiątkę lubelską" nie miało łatwego zadania. Nie dlatego, że na konkurs 106 osób nadesłało 441 propozycji, ale dlatego, że prawie dwie trzecie tych propozycji trzeba było odrzucić, bo albo nie odpowiadały warunkom konkursu, albo nie nadawały się do rozpowszechniania masowego. Ostatecznie pierwszą nagrodę (5 tys. zł) otrzymał Zbigniew Strzałkowski z Lublina, dwie drugie (po 4 tys. zł) Waldemar Mrówka ze Świdnika i Waldemar Maciejewski z Lublina. Pierwsza nagroda to papeteria z grafiką lubelską, ładna, ale przecież potrzebna tylko stosunkowo wąskiej grupce turystów, a w dodatku po przeczytaniu listu raczej powędruje do kosza.

ekran i widz

Drugie „Forum"

II MIĘDZYNARODOWE Forum Filmowe: „Człowiek-Praca-Twórczość" mamy już za sobą (1—4.V.) i zanim przedstawiciele Ministerstwa Kultury i Sztuki, Naczelnego Zarządu Kinematografii, Centralnej Rady Związków Zawodowych, Zarządu Głównego ZMS, redakcji „Ekranu" oraz lubelskiego Urzędu Wojewódzkiego dokonają wszechstronnej analizy i oceny imprezy, której byli współorganizatorami, my już teraz, na gorąco, możemy sobie pozwolić na garść impresji.

Podobnie jak w roku ubiegłym, Forum było okazją do przedyskutowania przez krytyków filmowych, przez młodzież zrzeszoną w dyskusyjnych klubach filmowych, aktyw ZMS i TWP z całego kraju oraz szeroką publiczność robotniczą — szeregu zagadnień: „Jakimi są powstające w państwach socjalistycznych filmy traktujące o pracy, jak przyjmuje je widz, czy właściwa jest forma wykorzystania ich w szeroko rozumianej działalności ideowo-wychowawczej, a wreszcie, jakie zachodzą zmiany w tradycyjnych pojęciach „wartości pracy".

Główną podstawę do dyskusji stanowiło 8 filmów (w tym jeden — poza konkursem) reprezentujących kinematografie: bułgarską („Mężczyźni bez pracy"), czechosłowacką („Ludzie z metra"), RFN („Na przykład Józef"), polską („Ziemia obiecana" i poza konkursem — „Linia"), rumuńską („Filip dobry"), radziecką („Premia") oraz węgierską („Dziewczęta jak iskry"). Z wyjątkiem „Ziemi obiecanej" były to filmy po raz pierwszy prezentowane polskiej publiczności.

W plebiscycie widzów pierwsze miejsce zajęła „Ziemia obiecana" Andrzeja Wajdy, nagroda dziennikarzy akredytowanych przy Forum przypadła filmowi radzieckiego reżysera, Siergieją Mikaelana — „Premia".

Forum nie ograniczało się, oczywiście, jedynie do projekcji i dyskusji na temat filmów konkursowych. Nie mniejszą wagę przywiązywali organizatorzy do seminariów naukowych, których powagę określały już chociażby tylko tytuły niektórych referatów: „Praca w antropologii kultury i socjologii" lub „Filozoficzne pojęcie wartości pracy". Zorganizowano wreszcie w kinie „Staromiejskim" w Lublinie przegląd archiwalnych filmów o pracy, a w hali sportowej odbył się finał turnieju wiedzy o filmie polskim będący aktem kulminacyjnym akcji ZMS — „Z filmem na ty".

Ujmując zaś rzecz całą w liczbach, należy odnotować, że filmy konkursowe obejrzało prawie 7 tys. widzów, 24 tys. osób obejrzało imprezy estradowe — „Z filmem na ty", w 30 innych imprezach uczestniczyło 6350 osób, w towarzyszących Forum przeglądach filmowych wyświetlono 16 polskich i 17 zagranicznych filmów fabularnych oraz 31 filmów krótkometrażowych, na sympozjach i seminariach wygłoszono 9 referatów i odczytów, odbyło się 17 spotkań z twórcami, krytykami i aktorami.

W sensie organizacyjnym Forum zostało zorganizowane z dużym rozmachem. Pomimo że „centrala" znajdowała się w Lublinie, to właściwie wszystkie imprezy odbywały się równolegle w trzech pozalubelskich ośrodkach robotniczo-przemysłowych: w Świdniku Milejowie i Puławach. We wszystkich kinach w województwie wznowiono filmy, które wiązały się tematycznie z hasłem Forum; projekcje i dyskusje były organizowane przez kluby filmowe w szkołach i zakładach pracy.

Słusznym wydaje się, że zdecydowano się w tym roku na przeniesienie ośrodka dyspozycyjnego Forum ze Świdnika do Lublina. Pomimo najlepszych chęci i zapału, tamtejsze środowisko młodzieżowe nie mogłoby podołać kierowaniu skomplikowaną machiną organizacyjną, a nienajlepsza komunikacja pomiędzy Lublinem i Świdnikiem tym bardziej zwiększa trudności. Nie można jednak zapominać, że to właśnie inicjatywie i zapałowi zetemesowskiej młodzieży świdnickiej zawdzięczamy fakt istnienia i kontynuacji Forum.

W ubiegłym roku starano się nadać świdnickim spotkaniom formę festiwalu filmowego. Takiego — z uczestnictwem gwiazd filmowych, sławnych reżyserów, „atrakcyjnych" osobistości ze świata nauki, kultury, polityki. Ten pomysł sprawdził się tylko częściowo a zupełnie nie potwierdził się w bieżącym roku.

I tak właśnie jest chyba lepiej. Międzynarodowe Forum Filmowe zaczyna się krystalizować w kształt roboczej narady młodych aktywistów politycznych, miłośników filmu, propagatorów sztuki zaangażowanej.

(md)

noty i notki

W maju mamy osiem dni wolnych od pracy. Służbie zdrowia też się należy wolne, ale to nie znaczy, że z tej okazji ludzie chorzy mają być pozostawieni sobie. Mnie osobiście tak wypadło, że powinienem dostać zastrzyki 1, 4, 9 i 11 maja. Ale moja przychodnia rejonowa, jak wszystkie inne, była w tych dniach nieczynna. Na cały 300-tysięczny Lublin pracowała tylko jedna pielęgniarka w gabinecie zabiegowym przy ul. Hipotecznej. Można sobie wyobrazić, co się tam działo. W dodatku ponieważ dzieci — zresztą słusznie — przyjmowane są poza kolejnością, ludzie bez dzieci czekali po 2 lub 3 godziny, a najczęściej rezygnowali, co przecież przerywało normalny tok leczenia. I tak ma być dalej?

Jak doniósł niemal wszystkowiedzący „Kurier Lubelski" (nr 101), zajezdnia samochodów Przedsiębiorstwa Transportowego Handlu Wewnętrznego w Lublinie została przeniesiona z dawnej tymczasowej lokalizacji przy ul. Doświadczalnej, na tymczasową lokalizację przy ul. Łęczyńskiej. Warto przypomnieć, że swego czasu PTHW otrzymało także tymczasową lokalizację przy Alejach Zygmuntowskich, skąd tymczasowo przeniesiono ją w rejon ul. Doświadczalnej. Ciekawe, jak długo potrwają te doświadczenia z tymczasowymi lokalizacjami.

Przed miesiącem pisałem, że od dwóch miesięcy brak w Lublinie benzyny do zapalniczek. Od tego czasu, oczywiście, nic się nie zmieniło. W tzw. międzyczasie byłem w Radomiu, Piotrkowie Trybunalskim, Kępnie i Wrocławiu. Wszędzie benzyna była.

KTT napadł ostatnio („Kultura" nr 18) na pamiętniki. Zastrzega się, że nie w ogóle, ale na te dziesiątki i setki pamiętników, które zalewają nasz rynek wydawniczy. Dużo w tym prawdy. Dla odmiany KTT zachęca mnie, abym przeczytał memuary niejakiej Laury księżnej d'Abrantes, która nieco niżej nazywa „wściekłą babą", co by jeszcze uszło, ale także „fałszywą gęsią" i „banalną napuszą", która m. in. zajmowała się zagadnieniami stomatologicznymi żony Napoleona. Nurtuje mnie niezdrowa chęć zwrócenia się do pana Klimuszko, aby mi powiedział, co w przystępności napisze felietoniści o pamiętnikach KTT.

JOD

POLSKI ORZEŁ WOJSKOWY

Dokończenie ze str. 11

czy amazonek, inaczej zdobione jej rogi. Szczegóły, szczególiki, niuanse, które historyków-zawodowców śmieszą, są przez nich lekceważone, niedostrzegane; problemy, dla których zrozumienie mogą mieć tylko zapaleńcy, miłośnicy. A przecież przed wojną odmienne orły miało lotnictwo i marynarka wojenna, organizacje paramilitarne i przysposobienie wojskowe (inne dla chłopców, inne dla dziewcząt), weterani, kadeci, junacy...

Na niższej półce orły ostatniej wojny: z Zachodu i Wschodu, z Francji i Afryki, z partyzantki i Powstania. Robione na wzór przedwojennych a nawet legionowych i projektowane specjalnie, fabryczne i robione „własnym przemysłem", wycinane z blachy, tłoczone prymitywnymi sztancami, odlewane. Wykonywane w formacjach WP na obczyźnie, w lesie, w powstańczej Warszawie, w oflagach, zrzucane z samolotów wraz z bronią, przywożone po wojnie jako pamiątka, znajdowane przypadkiem, niekiedy pordzewiałe, zaśniedziałe, pogięte.

To przeszłość — historia polskiego orła wojskowego. A ostatnie trzydziestolecie? Przecież to już współczesność! A jednak, trzydzieści lat to kawał historii. I tu paradoks: tych właśnie niedawnych, współczesnych orłów mam najmniej, stanowią człon nowy, dopiero rosnący, bynajmniej nie łatwy do skompletowania. Kto dziś pamięta, ile odmian orłów noszono przez te lata? Jakiej ewolucji uległ znak polskiego żołnierza, choć na pozór pozostał niezmieniony, niby ten sam od czasów Królestwa Kongresowego. Kto zbierał te współczesne orły? Bo i po co? Przecież można je było kupić w sklepie, zobaczyć codziennie na żołnierskiej czapce: nie były historią, były teraźniejszością. Były, ale niepostrzeżenie, z wolna przeszły do historii i dziś łatwiej niekiedy zdobyć orła z roku 1914 niż z 1945 czy 1953.

A teraz współczesność, ostatnie kilka lat. Tu już chyba sprawa prosta. Niezupełnie. Proszę, kto mi odpowie na pytanie: ile rodzajów i odmian orła noszonych jest obecnie w wojsku, w milicji, w umundurowanych organizacjach? Bo są przecież metalowe i haftowane, tkane, tłoczone w plastyku, malowane. Inne na czapkach (garnizonowych i polówkach), inne na beretach, na hełmach. Zupełnie odmienne orły noszą komandosi, lotnictwo, marynarka, a nawet dziewczęta ze Studium Wojskowego (chłopcy noszą ogólnowojskowe). A to przecież wszystko są orły, polskie orły. Wszystkie chciałoby się zebrać, mieć. Tymczasem, wbrew pozorom, wcale nie tak łatwo. Kilka zaledwie odmian można kupić w sklepie. Skąd brać resztę?

Wreszcie kolejne pytanie: ile by trzeba mieć orłów, żeby posiadać wszystkie ich typy i odmiany od końca XVIII wieku do dziś? Byłaby to w każdym razie liczba czterocyfrowa. A zatem to przedsięwzięcie niemożliwe dla prywatnego zbieracza, a niestety trudne i dla muzeów. Wielu orłów po prostu już nie ma, o wielu być może nawet nie wiemy, że istniały, o innych wiemy, że były, ale nie wiemy, jak wyglądały.

Nie uważam się za specjalistę. Jestem tylko amatorem, miłośnikiem określonego wycinka naszej historii wojskowej, lecz im dłużej zajmuję się orłami, tym więcej widzę zagadnień ich dotyczących, tym więcej luk w moich wiadomościach i w moim zbiorze. Zdaję sobie sprawę, że będzie on zawsze tylko pomocą, tylko ilustracją zainteresowań, że pozostanie daleki od względnej nawet kompletności. Ta świadomość nie przeszkadza mi jednak cieszyć się i tymi nielicznymi orłami, które posiadam.

Bohdan Królikowski

Szyfrogram literacki (nr 10)

Po odgadnięciu wyrazów pomocniczych należy przenieść do diagramu litery na miejsce odpowiadających im liczb i odczytać rozwiązanie — fragmenty wiersza poety polskiego, którego imię i nazwisko dadzą pierwsze litery 19 początkowych wyrazów pomocniczych. Pojedyńcze czarne kratki oznaczają koniec słowa, podwójne — koniec wiersza.

53, 30, 25, 1, 53 — wiadomość.
48, 15, 94, 22, 52 — szlachetna ryba.
44, 48, 18, 19, 8, 34, 134 — składnik stopu drukarskiego.
26, 14, 121, 24, 131 — niedorozwinięty umysłowo, idiota.
9, 124, 42, 135 — miasto ze znanego westernu.
45, 20, 36, 99, 57, 17, 78, 139, 129 — autor „Cichego Donu".
63, 130, 12, 3, 29 — chuligan, andrus.
41, 72, 98, 133 — góry w Ameryce.
76, 68, 38, 107, 70 — mile morskie na godzinę.
4, 81, 28, 117, 114 — rogate zwierzęta hodowlane.
33, 64, 61, 136, 72, 56, 89, 111 — rozum, rozwaga.
11, 35, 2, 90, 37, 71, 126 — twarz.
21, 92, 83, 102, 43, 39 — powieść Elizy Orzeszkowej.
13, 74, 80, 55, 110, 104, 6, 59 — przeczucie, domysł.
7, 54, 75, 87, 112, 109 — tworzywo kauczukowo-siarkowe.
97, 50, 16, 84 — dawny naczelnik gminy.
82, 66, 69, 77, 32 — trzy łokcie.
23, 108, 62, 79, 101, 116, 120, 91 — wyższy etap socjalizmu.
88, 123, 118, 113 — bożyszcze.
60, 106, 47 — nocny motyl.
46, 128, 49 — wzór, model.
65, 85, 18, 83 — apteczna porcja.
119, 100, 127, 31, 132, 67 — chwila.
138, 27, 140 — zanieczyszcza atmosferę.
105, 122, 86, 95, 103, 51 — „luźny człowiek" w dawnej Polsce.
115, 5, 137, 125, 96 — broń myśliwska.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9		10	11	12	13	14
	15	16	17	18	19	20	21	22			23	24	25	26	27
	28	29	30	31	32		33	34	35	36	37	38	39		40
41	42		43	44	45	46	47	48			49	50	51	52	53
	54	55	56	57	58	59	60		61		62	63	64	65	66
	67	68	69	70	71	72	73			74	75	76	77		78
79	80	81		82	83	84	85	86	87	88	89		90		91
92	93	94	95	96			97		98	99	100	101	102	[illegible]	[illegible]
105		106	107	108	109		110		111	112	113	114	115		116
	117	118	119			120	121	122	123	124	125	126	127	128	
129	130	131	132	133		134	135	136	137		138	139	140		

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 131, 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązaniem szyfrogramu z nr 8 była bajka Leonarda da Vinci pt. „Mrówka i ziarno prosa":

„Kiedy mrówka znalazła małe prosa ziarno,
Krzyknęło ono czując swoją dolę marną:
— Spraw mi z łaski swej radość, bym zakiełkowało,
Wrócę ci stokrotnie! — I tak też się stało".

Za prawidłowe rozwiązanie szyfrogramu nr 8, cztery nagrody w formie bonów książkowych po 40 złotych każdy, wylosowali: Jan Miesiączek, 35-202 Rzeszów, ul. Kosynierów 2/32; Kazimierz Piluś, 22-546 Turkowice, pow. Hrubieszów, wieś Wronowice; Piotr Nowakowski, 22-400 Zamość, ul. H. Sawickiej 90; Paweł Zawisza, 22-200 Włodawa, Aleja Wyzwolenia 56.

listy do kamery

„MARYA — MARYJA MARJA — MARIA"

Proszę o wyeksponowanie ostatniego zdania z gawędy pt. „Marya — Maryja — Marja — Maria", zamieszczonej w 7 numerze „Kameny". Oto treść tego zdania: „Potrzebne są młodzieży wszystkie olimpiady przedmiotowe, ale najpilniejsza z nich byłaby wyłącznie olimpiada ortograficzna z udziałem uczniów różnych szkół: podstawowych, ponadpodstawowych i pomaturalnych".

Na podstawie wieloletnich badań doszedłem do wniosku, że polska pisownia (podobnie jak angielska wymowa) jest najtrudniejsza w świecie. Dlatego ze stanowiskiem autorki nie tylko w pełni się solidaryzuję, ale również deklaruję chęć udziału w takowej olimpiadzie. Rzucam rękawicę wszystkim polonistom w Polsce! Bez względu na wykształcenie i cenzus naukowy.

Waldemar Szczepański

Włocławek

ZAGŁĘBIE A KOMUNIKACJA

Będziemy mieli na Lubelszczyźnie nowy wielki ośrodek przemysłowy, czyli zagłębie węglowe. Wraz z postępem robót na jego terenie automatycznie będzie wzrastała liczba samochodów przejeżdżających przez Lublin. A tymczasem już teraz ulice śródmieścia są bardzo zatłoczone, nie mówiąc o tym, że coraz trudniej o świeże powietrze. Obawiam się, że za kilka lat jazda po Lublinie w okresie szczytu okaże się jeszcze kłopotliwsza, niż obecnie po Londynie czy Tokio. Obawiam się także, że możliwości zdecydowanego ulepszenia aktualnego układu komunikacyjnego w mieście są nader ograniczone.

Sądzę, że artykuł na ten temat w „Kamenie" byłby bardzo na czasie.

Jan Wąwolnicki

Lublin

OD REDAKCJI: Postaramy się zrealizować sugestię Czytelnika.

„ZIEMIA OBIECANA"

Ostatni film Andrzeja Wajdy wzbudził wielkie zainteresowanie publiczności i zachęcił krytykę do różnorodnych interpretacji „Ziemi obiecanej". Ci ostatni zajmowali się ideologią dzieła i urodą plastyczną jego kadrów, ci pierwsi walili do kina przede wszystkim ze względu na wyjątkowo drastyczne sceny erotyczne i sytuacje wzbudzające niekłamaną radość sadystów. Mocny to film, okrutny film, którego autor stawał na palcach, aby tylko znaleźć się „w kursie" światowej kinematografii (czytaj: zachodniej), epatującej znudzonego widza pornografią i satanizmem, zboczeniami seksualnymi i brutalnością. Nie jestem purytaninem, ale rozpasany erotyzm filmu wzbudził we mnie co najmniej zażenowanie, zwykłe ludzkie zażenowanie, przechodzące we wstręt. Wydaje mi się ponadto, że klimat obrazu nic nie straciłby na sugestywności, gdyby reżyser był bardziej powściągliwy w dawkowaniu scen obscenicznych. Powiedzmy jednak, że jestem człekiem starej daty, zaściankowym, ot, takim jakimś starym Borowieckim, co to wstyd ma i tradycje szanuje. Dobrze.

Sądzę przecież, że nie ulega najmniejszej wątpliwości błędne, moralnie szkodliwe adresowanie tego filmu, który mogła oglądać młodzież od 15 roku życia, czyli aktualni uczniowie ostatniej klasy szkoły podstawowej. Ustalenie takiej granicy wieku, tak niskiej, jednoznacznie uważam za skandal. Podobnego zdania są nauczyciele. Wiemy, jakie problemy wychowawcze musi rozwiązywać współczesna szkoła, jakie pomieszanie pojęć etycznych panuje dziś w młodych głowach. A tu tymczasem zaprasza się młodzież na lekcję orgii seksualnych! Uważam to za dywersję wychowawczą.

Andrzej Jeleński

Lublin

„COŚ DO SŁUCHU REDAKTORZE KOZICKI!"

Po przeczytaniu felietonu MAJ-a w 8 numerze „Kameny" nieco zbaraniałam. Kozickiego znałam jako wytrawnego reportera-terenowca, który, o ile wiem, nie dezinformował czytelników w swoich publikacjach i nie ustawiał polemistów w sytuacjach (także werbalnych) gwarantujących mu łatwe zwycięstwo. Wzięłam zatem do ręki „Argumenty", w których nasz dzielny wzór dziennikarstwa kropnął „Kamenę", zestawiłam tekst Kozickiego z odpowiednim numerem lubelskiego dwutygodnika. No i okazało się, że macie rację, że Kozicki preparuje cytaty i stosuje chwyty poniżej pasa. Zasmuciło to mnie, komu bowiem wierzyć, jeśli renomowany dziennikarz robi takie „numery"?!

Janina Zastawna

Warszawa

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Jerzy Dostatni (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego, oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Cena prenumeraty krajowej rocznie 78 zł, półrocznie 39 zł, kwartalnie 19.50 zł. Prenumeraty przyjmowane są do dnia 10 każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe oraz listonosze. Wszystkie instytucje państwowe i społeczne w miastach zamawiają prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów delegatur RSW „Prasa — Książka — Ruch". Pozostałe mające siedzibę na wsi lub w innych miejscowościach, w których nie ma oddziałów ani delegatur zamawiają prenumeratę za pośrednictwem urzędów pocztowych.

Prenumeratę na zagranicę przyjmuje: RSW „Prasa — Książka — Ruch" — Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych, Wronia 23, 00-349 Warszawa, konto PKO 1-6-100024. Cena prenumeraty dla zagranicy jest wyższa od prenumeraty krajowej o 40%.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piątka w godz. 14—16.

Wydawca: RSW Prasa — Książka — Ruch Lubelskie Wydawnictwo Prasowe. Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1156. 2.V.75. E-4.

Numer łamali: Wiktor Muda i Jan Goździuk, drukował zespół pod kier. Stanisława Wielgosa

Nr indeksu: 36400-3623

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat i naczelny redaktor 255-93, sekretarz redakcji i dział publicystyki 275-35.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 131; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Opowieść z dreszczykiem

GOŚĆ O PÓŁNOCY

Marek Adam Jaworski

ZJAWIŁ się o północy. Tak po prostu zjawił się, nawet drzwi nie skrzypnęły.

— Cześć, stary — zawołałem i serdecznie wyciągnąłem ku niemu rękę, ale też gwałtownie ją cofnąłem. Przecież Roman od dziesięciu już lat leżał na pobliskim cmentarzu — sam byłem na jego pogrzebie, ba — nawet niosłem trumnę!

Minę musiałem mieć niewyraźną, gdyż usłyszałem:

— Nie bój się. Ja tutaj jestem na delegacji służbowej. Nie zajmę ci wiele czasu.

Jego głos był normalny, spokojny, szybko wróciłem do równowagi.

— Ależ oczywiście, nie boję się. Siadaj, napijesz się?

— Z przyjemnością, daj mi czegoś zimnego z lodówki, jeszcze trochę pali mnie ogień.

Przyniosłem wodę mineralną. Łapczywie ujął szklankę. Milczałem, czekałem aż on zacznie.

— Muszę się streszczać — powiedział. — Noce stają się coraz krótsze.

— Nic się nie zmieniłeś — chciałem mu zrobić przyjemność. — Tylko wyłysiałeś, chociaż — pocieszyłem go — z włosami zawsze miałeś kłopoty...

— Drobiazg. Włosy są materiałem łatwopalnym. Ale do wszystkiego można się przyzwyczaić. Za dobre sprawowanie już mi darowano połowę kary. Jeszcze tylko czterdzieści lat i będę w niebie.

— To znaczy teraz przebywasz w czyśćcu?

— Jesteś, jak zwykle, bardzo domyślny.

Zrobiło mi się gorąco, teraz ja sięgnąłem po szklankę z wodą mineralną.

— Czy będę bardzo niedyskretny, jeśli cię zapytam, co robisz w nowym miejscu zamieszkania? — Starałem się go nie urazić i starannie dobierałem słowa.

— Oczywiście, jeśli to nie tajemnica służbowa...

— Co człowiek, taki jak ja, może robić w czyśćcu? Mianowali mnie redaktorem naczelnym „Gazety Czyśćcowej".

— Jakaś dziwna nazwa. Lepiej by brzmiało: „Gazeta Czyśćca".

— Tak, ale co to mnie właściwie obchodzi? U nas nie ma dożywotnich redaktorów naczelnych. Odbębnisz swoje i marsz do nieba!

— Macie kłopoty z kadrami?

— Jeszcze jakie! Najlepsze pióra idą prosto do piekła. Kilka osób udało nam się wyreklamować. Nie wiem, na jak długo, bo Belzebub ma swoje humory. Jeśli tylko zażąda, będą musieli natychmiast wracać. Ciężkie życie, chłopie.

— A kogoście wyreklamowali?

— O, to już tajemnica służbowa.

Bardzo zainteresowała mnie „Gazeta Czyśćcowa". Zapragnąłem dowiedzieć się szczegółów.

— Czy wy też macie trudności papierowe?

— Przecież my nie możemy drukować naszego pisma na papierze. W takiej temperaturze!

— No to na czym drukujecie?

— Nie mogę ci zdradzić tajemnic. Może wkrótce sam zobaczysz.

Ciarki przeszły mi po skórze. Ale indagowałem dalej:

— A dużo masz pod sobą pracowników?

— Stu osiemdziesięciu...

— I ty narzekasz na kadry? Przecież to cała armia dziennikarzy!

— A ile lat istnieje dziennikarstwo? Ile wynosi przeciętny wiek człowieka pióra? Tak mówisz, jakbyś się dopiero urodził. Poza tym co za sztuka kierować małym, sześcioosobowym zespołem? Zrozum, że to jest czyściec! Nie liczba zresztą decyduje. Wśród tych stu osiemdziesięciu jest co najwyżej pięciu z talentem. Pozostali to miernota.

Rzeczywiście smutna sprawa. Zacząłem współczuć Romanowi.

— A jak z honorariami? Też macie kłopoty?

— Jak na ziemi. Tylko, niestety, płacą w złocie

— W złocie? To znakomicie. Dlaczego narzekasz?

— Bo złoto cholernie ciężkie. To jest czyściec, człowieku. Sejfów nie ma, wszystko trzeba nosić przy sobie i pilnować, aby ktoś nie buchnął.

— A milicja u was nie istnieje?

— Są tylko policjanci. Milicjanci idą prosto do nieba.

„Może się przekwalifikować?" — pomyślałem. Pytałem jednak dalej:

— A dlaczego nie ma banknotów? — Oczywiście palnąłem gafę, przez moment zapomniałem, z kim rozmawiam.

— Złoto topnieje w temperaturze 1062 stopni C, a u nas rzadko kiedy bywa 500 stopni.

— Trudności opałowe?

— Kradną. Węgiel sprzedają na lewo do piekła. Ale nikt się tym nie przejmuje: im chłodniej, tym lepiej.

— Wytrzymujesz ten piekielny upał?

— P i e k i e l n y? Ty nie znasz piekielnego upału! Tam złoto jest w stanie wrzenia. 2600 stopni C!

Z podziwem słuchałem tych liczb. Zauważyłem, że Roman bardzo się w czyśćcu dokształcił. Zapragnąłem i na ten temat uzyskać pewne informacje.

— A u was istnieją jakieś kursy?

— Oczywiście. Dziennikarze muszą o b o w i ą z k o w o uczyć się obcych języków. Przy tej istnej Wieży Babel nie może być zresztą inaczej.

— A w jakim języku redagujecie waszą gazetę?

— W jakim? We wszystkich. Tłumaczy u nas nie brakuje, rzadko który trafia do piekła. Po co im zresztą tłumacze? Piekło nie wydaje własnego pisma, sprowadza jedynie „Zenminżipao". Każdy egzemplarz — z rocznym opóźnieniem. Rola dziennikarzy polega tylko na tym, aby przedrukować je na specjalnym ognioodpornym materiale. Nie mogą zmienić nawet przecinka. To nie czyściec, bracie!

Szybko przewertowałem w pamięci własne grzechy. Nie, stanowczo muszę się poprawić! Nie chcę kiedyś trafić do piekła.

— Wiesz — oświadczyłem — to wszystko, o czym opowiadasz, stanowi dla mnie ogromną rewelację. Chciałbym jeszcze wiedzieć coś o codziennym życiu samego czyśćca. Czy ty na przykład smażysz się w smole?

— Smażyłem się, ale tylko na stażu. To trwało rok. Dobrze dali mi w kość.

— Leżałeś na madejowym łożu?

— W czyśćcu madejowe łoże?

— Myślałem, że importujecie z piekła...

— Niestety, piekło eksportuje te łoża tylko na ziemię. Dla nas, na szczęście, nie starcza.

Spojrzałem na mój rozklekotany tapczanik. Zupełnie mimo woli...

Za oknem zapiał kogut. Mój własny. Od tygodnia trzymam go na balkonie. Zepsuł mi się budzik i nie miałem forsy na jego naprawienie.

Roman poderwał się gwałtownie:

— Na mnie już czas — zawołał.

Zatrzymałem go niemal siłą:

— Błagam cię, powiedz przynajmniej w jakim celu mnie odwiedziłeś?

— No właśnie! Na śmierć bym zapomniał! Mój zastępca odszedł wczoraj do nieba. Mam cholerne kłopoty ze znalezieniem odpowiedniego kandydata. Pomyślałem o tobie. Znamy się nie od dzisiaj, a swój swojego musi popierać. Wpadnę jutro, a właściwie już dziś o północy. Pogadamy na ten temat szczegółowo.

Zaniemówiłem.

...Za chwilę zegar u sąsiada wybije północ. Patrzę na moją starą „doxę". Czekam. Czekam nawet z dużym spokojem. Przed chwilą łyknąłem kilka fiolek relanium. Mój zapas do końca roku. Dlaczego mam taką ciężką głowę? Dlacze...

Jan Lipiński

AFORYZMY

Jest na dorobku. Marzy o własnym... zdaniu.

●

Już miał przekroczyć mur przesądów — ale na drodze... czarny kot.

●

Nienawidzi kliki. U nich wszystko do podziału. Woli sam.

●

Ocalał! Nie będzie Judaszem, Dawali tylko 25 srebrników.

●

Zrezygnowała z napisania książki. Gdyby i ona nie miała wzięcia...

KOCI PAZUR

Ziemowit Samożyciek

Michał wraca do domu z delegacji służbowej i tu zastaje oddanego na przechowanie psa. Żona tłumaczy mu, że musiała się zrewanżować koleżance za drobne uprzejmości.

(7)

Michał został sam. Pies drzemał w korytarzu. Michał poszedł w jego ślady, ostatecznie jeszcze ze dwie godziny mógł spokojnie pospać. Tylko zamknął oczy, gdy zadzwięczał dzwonek telefonu.

— Śpisz? Chyba cię nie zbudziłam — usłyszał głos Mirki.

— Nie możesz trochę później...

— To jednak cię obudziłam. Przepraszam. Przyjechałeś w nocy?

— W nocy, w nocy... Nad ranem.

— No i co?

— Nic. Zebrałem materiał, teraz trzeba siadać i pisać.

— To znowu się nie zobaczymy? Ja mam tego dosyć, ciągle tylko praca i praca. A jak nie praca to dom. Co z ciebie za pożytek?

— Wiedziałaś, co brałaś.

— Niczego nie brałam. Ale to wszystko zaczyna mnie denerwować.

— Wobec tego, co proponujesz?

— Nic. I właśnie to najgorsze. Kocham ciebie. I muszę się z tobą spotkać. Koniecznie. Chociaż wypijemy po małej kawie.

— Zadzwoń do mnie w południe do redakcji. Zorientuję się w sytuacji.

— Klawo. Śpij dalej.

Z dalszego snu jednak nic nie wyszło. Michał ubrał się, wyprowadził psa. Ramzes szarpał się na smyczy, a w pewnej chwili tak gwałtownie i tak niespodziewanie zerwał się do przodu, że Michał runął jak długi na chodnik. Podniósł się z obolałym kolanem. „Diabli nadali tego szatana. Skąd to bydlę ma tyle siły?" — pomyślał.

* * *

Naczelny powitał go serdecznie.

— Macie, towarzyszu, reportaż?

— Jeszcze nie. Przecież dopiero przyjechałem.

— No to siadajcie i piszcie. Jutro musimy posłać teksty do drukarni.

— Do jutra napiszę. Ja najlepiej pracuję w nocy.

W sekretariacie Hanka Czapla rozprawiała o swojej ostatniej wyprawie:

— Pojechałam do tego szpitala i zgłosiłam się, że chcę pracować jako salowa. Pokazałam stare świadectwo z podstawówki, a tu mnie pytają, gdzie byłam przedtem zatrudniona. Powiedziałam, że nigdzie. Ale miałam tragedię życiową i teraz tak się warunki ułożyły, że muszę pójść do pracy. Oni ciekawi, żądni szczegółów. No to mówię, że mnie rzucił. Trochę powspółczuli i wzięli na etat za tysiąc czterysta miesięcznie.

— I naprawdę pracowałaś jako salowa? — zdziwił się Michał.

— Oczywiście. Tylki podcierałam, kaczki wynosiłam i słuchałam opowiadań salowych. Uszy puchły.

— To będziesz miała dobry reportaż.

— Jak każdy mój reportaż. Ty byś też mógł zatrudnić się na tydzień jako kominiarz.

— Dlatego, że mam czarny charakter? Słuchaj, a dostałaś jakieś prezenty?

— Dostałam. Tabliczkę czekolady.

— Przekażesz na dom spokojnej starości?

— Ciebie przekażę.

— Jeszcze musisz pewien czas poczekać.

W dziale miejskim Porzeczkowski triumfował:

— Będę miał samochód. Już wszystko załatwione.

— Fuksem! — śmiał się Korzycki. — Masz takie samo nazwisko, jak Bronek. Wzięto cię za niego i później trudno się było wycofać.

— Czyli i nazwisko się przydaje! Dobre i to.

— Mógłbyś mieć jeszcze bardziej sławne nazwisko — powiedział Michał. — Czuję, że teraz dopiero weźmiesz się solidnie do roboty.

— A ty nie starasz się o samochód?

— Jeszcze poczekam. Na razie stać mnie na taksówki. Podobno samochodziarze mają dwie wielkie przyjemności. Pierwszą — gdy samochód kupują, i drugą — gdy go sprzedają.

— No to ty nie masz żadnej.

— Mam inne i bardzo sobie je chwalę.

Zadzwonił telefon. Porzeczkowski podał Michałowi słuchawkę i rzekł ściszonym głosem:

— Chyba jedna z twoich przyjemności po drugiej stronie drutu...

Rzeczywiście znów usłyszał głos Mirki.

— Słucham panią...

— Widzę, że nie jesteś sam w pokoju, jeśli mówisz mi per pani...

— Tak, ma pani rację.

— Wpadnij na chwilę do „Dziury". Będę tam za pół godziny.

— Dobrze.

— No to czekam.

— Hmm — zauważył Porzeczkowski — tutaj konspiracja nic ci nie pomoże. Nasze telefony są dosyć głośne, wszystko było słychać w pokoju. Leć szybko do „Dziury", twoja p a n i czeka. To ciągle ta sama? Zdaje się, że już ją poznaję po głosie, chociaż pod tym telefonem rzadko cię szuka.

— A co cię to właściwie obchodzi? Ja się w twoje sprawy nie wtrącam.

— A w mój samochód? Czekaj, czekaj, jeszcze będziesz chciał, abym was kiedyś zabrał do Uzdrowiska. Przyjdzie koza do woza. Przyjdzie koza do auta — poprawił się.

(dcn.)